

Droga  
do wydawnictwa  
SEANS  
na Fojuszowej

Z PUSTYNI  
KARA-KUM

KRZYŻÓWKI

STYL  
DŁOSIE

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

# nadodrze

ZIELONA GÓRA  
ROK XXXI NR 1 [632]

11 — 24 I 1987 R.  
CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## SPÓŁDZIELCZA STAJNIA AUGIASZA

Piotr Piotrowski

Przypadek klasyczny: Ona i On. Pobrali się, gdy dziecko było już w drodze. Zamieszkali u jego mamy, ale — jak twierdzi Ona — pod jednym dachem z mamą żyć się nie dało. Trafiła się okazja wynajęcia samodzielnego mieszkania. I wynajęli. Sześć tysięcy miesięcznie za pokój i ubikację-kuchnię. Jest to w zasadzie część wydzielona z większego mieszkania. Właściciel mieszka z żoną, drzwiami obok, i lubi odwiedzać sublokatorów, szczególnie gdy jej mąż jest w pracy. W sumie nie zdrożnego — staruszek pogada sobie, pożartuje i pójdzie. Ale jego żona jest innego zdania. Zaczęły się konflikty między sublokatorami a żoną właściciela. Znaleźli się w potrzasku. Ich jedyną deską ratunku jest lista przydziału mieszkań. Albo doczekają się własnego mieszkania, albo będzie za późno dla ich małżeństwa, jeszcze jednego małżeństwa, któremu nie udało się przekroczyć pierwszego z wysokich progów.

W Zielonej Górze na mieszkanie oczekuje się średnio 13-14 lat. Są miejscowości w województwie, w których ten czas oczekiwania jest krótszy i wynosi ok. ośmiu lat. Takie są oficjalne statystyki, lecz istnieją też indywidualne — co wcale nie znaczy, że są nieelastyczne — przypadki krótszego czasu oczekiwania na własne „M”.

Zgodnie z zaleceniem Biura Politycznego KC PZPR na przełomie II i III kwartału 1986 roku Inspekcja Robotniczo-Chłopska i NIK przeprowadziły kontrolę przydziałów mieszkań komunalnych i spółdzielczych oraz kontrolę mieszkań wykorzystywanych na cele niemieszkalne. W 35 proc. urzędów w całym kraju listy przydziałów mieszkań opracowano nieprawidłowo. Na cele nie mieszkalne wykorzystywano 7,7 tys. mieszkań o łącznej powierzchni 502 tys. m kw. Nadwyżki powierzchni biurowej ujawniono w 70 proc. objętych badaniami jednostek.

W Urzędzie Miejskim w Zielonej Górze nie rozpatrzono i nie zaktualizowano 490 wniosków o przydział mieszkań komunalnych z lat 1977-1980, a 417 zaktualizowanych wniosków z lat 1977-1980 nie wzięto pod uwagę przy opracowywaniu list w 1986 roku, choć nie-

którzy wnioskodawcy mieszkali w bardzo trudnych warunkach.

— Wokół przydziałów mieszkań już od wielu lat krąży wiele plotek i jest to temat budzący nieustanne emocje, tak jak ciągle jest niedobór mieszkań. Co pan sądzi o tej sprawie? — pytam wiceprezesa Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowej w Zielonej Górze, mgr Henryka Piechockiego.

— Sprawa wydaje się pozornie prosta. Wystarczy rozdzielać mieszkania według kolejności na liście i nie ma nieporozumień. Ale tak, niestety, sprawy nie da się rozwiązać. Wiadomo, że ludzie oczekujący na mieszkania żyją w trudnych, często bardzo trudnych warunkach. Mamy obowiązek ułatwić im uzyskanie mieszkania tym najbardziej potrzebującym. Lecz z drugiej strony żadne przepisy nie określają, co to są trudne warunki. — W odczuciach każdego oczekującego na mieszkanie jest taka sytuacja, że jest najtrudniejsza. Już samo to stwarza masę problemów i duży nacisk, trudno aby — w końcu społeczne — komisje odwiedziły wszy-

Ciąg dalszy na str. 4



Fot. KRZYSZTOF MEZYŃSKI

## Mistrz i Dorota

Halina Ańska

MIEC PASJE

— Sławny skrzypek Jehudi Menuhin powiedział niedawno w wywiadzie dla „Die Welt”, że najważniejszym okresem w życiu artysty jest dzieciństwo i dlatego dziećmi uzdolnionymi powinni zajmować się pedagodzy najlepsi, tacy, którzy mają wypracowaną ogólną koncepcję wiedzy i życia, i wiedzę tę potrafią przekazać. O tym, że Pan jest takim pedagogiem, zaświadcza sukcesy Pańskiej wychowanki Doroty Siudy. Wy różnicie jej w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego jest zarazem wyróżnieniem Pana, jako jej nauczyciela.

— Ale przede wszystkim jest uwieńczeniem naszej wspólnej, jej i mojej, wieloletniej, systematycznej pracy. Pro wadziłem Dorotę od najmłodszych lat i do 14 roku życia pracowaliśmy według

bardzo ścisłego planu, z rozkładem na miesiące, dni i godziny. Ale chciałbym też wspomnieć o moim drugim uczniu, który uczestniczył w konkursie im. Wieniawskiego, Jarosławie Zolnierczyku.

— Co zdaniem Pana zdecydowało, że Zolnierczyk nie przeszedł do III etapu?

— Był przebiegły, czuł się źle. Bardzo na niego liczyłem, ale niestety, zagrał poniżej swych możliwości. Gdyby nie ta niedyspozycja, on również miał szansę dojścia do finału.

— Przebywał Pan w Poznaniu podczas trwania konkursu, towarzysząc swym uczniom. Jak Pan sądzi, czy pańska obecność w jakimś stopniu im pomogła?

— Trzeba by o to ich zapytać. Co do mnie, to sądzę, że uczeń wychodząc na estradę, zwłaszcza estradę konkursową, czuje się lepiej i różniej, gdy w ostat-

niej chwili usłyszy kilka wskazówek od swego pedagoga.

— Ciekawe, jakich wskazówek udzielił mistrz swoim skrzypkom, gdy na ze garze „za pięć dwunastą”?

— Są to drobne uwagi i słowa otuchy.

— Mówi się teraz, że Dorota, przy jej zdolnościach, umiejętnościach, i aparycji, bo ten warunek także nie jest bez znaczenia, będzie rozchwytywana przez sceny muzyczne i z pewnością zrobi karierę. Czy poza nią i Zolnierczykiem jeszcze komuś stawia Pan dobrą prognozę?

— Tak, mam takich uczniów. To Ewa Łuczak i Aureliusz Goliński. Oni też próbowali startować w ostatnim Konkursie im. Wieniawskiego. Sądzę, że za 5 lat uda im się znaleźć w gronie uczestników, a może, jak pragnąłbym, laureatów. Inni bardzo utalentowani, to Monika Jarecka z Bydgoszczy, Katarzyna Erhard z Torunia i Małgorzata Zarzycka ze Szczecina.

— Wychował Pan wielu skrzypków. Co robią i gdzie przebywają np. Czermak, Żurawski i inni?

— Stefan Czermak jest koncertmistrem w Getyndze. Włodek Żurawski gra u Maksymiliana Machaja — w Goeteborgu, Strzelczyk — w Paryżu. Kryśia Sioma, która, zdaje się, tak jeszcze nie dawno była małą dziewczynką, dziś ma

własny kwartet w Lyonie. Adam Tadeusz, który dojeżdżał do szkoły z Nowej Soli, gra w Belgii. W Baden-Baden pracuje Zbigniew Jarmuż. Mam swego ucznia nawet w Indianapolis. Jest to Jan Sędzich, zdolny altowiolista, który jednakże w rezultacie rozmaitych koleś losu, wybrał matematykę i fizykę. Pracuje naukowo, lecz, jak mi donosi, nie przestał interesować się muzyką. Inny mój uczeń, Piotr Sołtysiak, mieszka w Kanadzie i nie tak dawno temu przebywał w Europie na tournée z orkiestrą kameralną, znakomitą zresztą.

— Czy jest recepta na wspólne sukcesy mistrza i ucznia?

— Jedyną receptą jest systematyczna i dobrze rozplanowana praca, z podziałem na okresy i coraz wyższe stopnie trudności. Poza zdolnościami i chęcią, uczeń musi mieć też predyspozycję do gry na wybranym instrumencie.

— Podobno w Pańskiej klasie skrzypiec są zawsze sami bardzo zdolni uczniowie. Skąd Pan bierze te talenty?

— Bardzo dużo dzieci wykazuje zdolności muzyczne. Jeśli rodzice w porę to dostrzegą, posła dziecko do szkoły, a potem z wielką uwagą podejda do procesowania, wówczas praca nauczyciela jest łatwiejsza, a trud nie idzie na rękę. Menuhin który, twierdzi, że najmłodsze są wczesne lata życia, będał z dzieckiem utalentowanym, mał-

szczęście posiadać rodziców świadomych talentów syna, i doceniających ten fakt. Mnie również zdarzało się spotykać utalentowanych maćców. Mam teraz takiego ucznia, nazywa się Paweł Zatorski, ma 7 lat i już pięknie gra trudne utwory. Jeśli wszystko potoczy się planowo, wyróżnie z niego świetny skrzypek.

— A czy wie Pan, co jeszcze powiedział Menuhin? Mianowicie, że był dzieckiem szczęśliwym, dopóki nie zaczął grać na skrzypcach i dopóki nie został obciążony tą „odpowiedzialnością”. Ale to co kochamy i czego pragniemy, zawsze była naszym szczęściem i nie szczęściem.

— To prawda. Muzyka jest dla artysty źródłem zarówno radości i triumfu, jak też smutku i gorczy. Ale też niczego nie da się osiągnąć bez przyjmowania owej „odpowiedzialności”. Przy tym każde dziecko, nie tylko uzdolnione muzycznie i uczące się muzyki, trzeba wychowywać także przez stopniowe powierzanie mu zadań, najpierw małych, potem większych i w ten sposób rozwijać w nim odpowiedzialność.

— Pedagog, mistrz i koncertmistrz, skrzypek w orkiestrze, kameralista i to

Ciąg dalszy na str. 5



# Opinie i refleksje

## Otwarcie

W roku 1987 przypada 70-lecie Rewolucji Październikowej. Dziś nikt już nie kwestionuje, że było to jedno z najdonioślejszych wydarzeń w dziejach ludzkości. Na gruzach zafalanej carskiej Rosji wyrosło państwo wywierające dominujący wpływ na kształtowanie oblicza współczesnego świata. Szczególnie ostatni okres — konkretnie mówiąc — od przejęcia kierownictwa partii i państwa radzieckiego przez Michaiła Gorbaczowa, a zwłaszcza od doniosłych uchwał XXVII Zjazdu KPZR, które ogólnie określono mianem polityki „przyspieszenia” (t.j. modernizacji na wszystkich odcinkach) sytuacja wewnętrzna w ZSRR i jej rozwój budzą szczególne zainteresowanie opinii i prasy światowej.

Do problemów rekonstrukcji ekonomii radzieckiej będziemy w tym jubileuszowym roku jeszcze niejednokrotnie powracać. W tych rozważaniach chciałbym się jednak zająć tą stroną rzeczywistości radzieckiej, która dowodzi ogromnych postępów w dziedzinie demokracji, humanizacji i humanitaryzacji stosunków międzyludzkich.

Świadczy o tym chociażby — mało jeszcze naszemu społeczeństwu znana — nowa radziecka ustawa paszportowa. Otóż 1 stycznia br. w ZSRR weszły w życie znówelizowane przepisy regulujące zasady wjazdu obywateli zagranicznych do Związku Radzieckiego i obywateli ZSRR za granicę. W wywiadzie udzielonym dziennikowi IZWIESTIA minister sprawiedliwości stwierdził, iż podstawowym celem, którym kierowano się przy opracowywaniu nowych zasad paszportowych — było dążenie do ułatwienia kontaktów między ludźmi.

Ze swej strony chciałbym przypomnieć, że problemy te omawiane były przed paroma miesiącami w Bernie pomiędzy sygnatariuszami Aktu Końcowego KBWE. Omawiano je z inicjatywy Polski, która proponowała szeroki rozwój międzynarodowych kontaktów między ludźmi. Niestety nie doszło wówczas do podpisania oświadczenia o zamiarze, w wyniku którego miałyby być ułatwione kontakty między ludźmi.

Mimo to ZSRR podjął decyzję o nowelizacji obowiązujących w Związku Radzieckim przepisów wyjazdowych, z uwzględnieniem zasad przyjętych w projekcie dokumentu berneńskiego. Zdeklarowano się na ostateczne przyjęcie dokumentu, zakładając, iż w wyniku takich decyzji skorzystają obywatele różnych krajów, oraz sama idea budowania i umocnienia wzajemnego zrozumienia pomiędzy narodami oraz kontakty między ludźmi.

Przedstawmy więc krótko zasady nowej radzieckiej ustawy paszportowej. Precyzyjnie określono w niej wszystkie powody uzasadniające wyjazd za granicę w sprawach prywatnych. Chodzi tu o łączenie z członkami rodzin, spotkania z krewnymi, zawarcie małżeństwa, odwiedzenie chorych, krewnych i grobów, a także załatwianie spraw spadkowych. Mogą tu być uwzględnione inne istotne przyczyny. Rozpatrywane będą wnioski nie tylko w sprawie połączenia z małżonkami i rodzicami lub krewnymi, ale również z osobami, które nie są zaliczane do najbliższej rodziny. Uproszczono również procedurę załatwienia formalności.

Podczas spotkania KBWE w Madrycie postulowano np. aby w przypadku łączenia rodzin wniosek był rozpatrywany w ciągu 6 miesięcy. W nowych przepisach radzieckich terminy te są znacznie krótsze. Wnioski o czasowy wyjazd lub wjazd do ZSRR w celach prywatnych muszą być rozpatrywane w możliwie krótkim terminie (nie później, niż w ciągu miesiąca) a jeśli wyjazd związany jest z poważną chorobą lub śmiercią bliskiego krewnego, wówczas stosuje się termin trzydniowy. Również wnioski o wjazd lub wjazd do ZSRR na pobyt stały muszą być rozpatrzone w ciągu miesiąca.

Jak więc widoczne, wyjazdy radzieckie stają się coraz łatwiejsze, a jeżeli popatrzymy na to w Bernie i Madrycie. To także „signum temporis” tego, co dzieje się obecnie w ZSRR.

MICHAŁ HOROWICZ

## SATYSFAKCJA I NIEDOSYT

NA SPOŁECZNO GOSPODARZEJ mapie województwa wiejska spółdzielczość zaopatrzenia i zbytu „Samopomoc Chłopska” zajmuje ważne miejsce. Tworzy bowiem ta spółdzielcza organizacja prawdziwy, wielobranżowy kombinat, obsługujący wsi i małe miejscowości miejskie. Zajmuje się przede wszystkim zaopatrzeniem rolnictwa w środki produkcji, skupem wszelkich produktów rolnych, produkcją piekarniczą, masarniczą, napojów chłodzących oraz wyrobem mieszanek paszowych. Prowadzi szeroko rozgałęzioną sieć sklepów i punktów handlowych, liczne zakłady gastronomiczne i warsztaty usługowe, a także — w zakresie pracy społeczno-wychowawczej — aktywnie działające ośrodki „Nowoczesna Gospodyni” oraz kluby rolnika.

Zielonogórska spółdzielczość „Samopomoc Chłopska” ma wysoką lokatę w

Kraju. Rozmaite nowe i cenne inicjatywy własne rozłożyły się w naszym regionie i były popularizowane w innych województwach. Wzorem dla innych

## Z REGIONU

były podejmowane tu przedsięwzięcia, służące stałej poprawie służebnej funkcji wobec rolnictwa. Od wielu lat na przykład, z inicjatywy zarządu WZSR i jego wieloletniego prezesa Edmunda Hyży, obecnie również przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, realizuje się kompleksowy program budowy centrów usługowo-handlowych w gminach i wsiach. Chodzi w tej idei po prostu o to, aby rolnik przejeżdżający do siedziby swej gminy mógł w jednej miejscowości zaopatrzyć się w niezbędne towary i artykuły do produkcji rolnej, skorzystać z usług specjalistycznego punktu, spożyć posiłek w estetycznych warunkach. Przykład Sławy jest tu najbardziej znamienny...

## Zaodra

### Ważne dostawy

W Berlinie podpisano protokół o wzajemnych dostawach towarów i usług między NRD i ZSRR w roku 1987. Jak informuje agencja ADN, wymiana towarowa obejmuje przede wszystkim maszyn i urządzeń na wysokim poziomie technicznym oraz zagwarantowane umowy dostawy surowców, paliw, wyrobów przemysłu chemicznego i lekkiego. Poprzez zrealizowanie przewidzianych dostaw zostanie wniesiony istotny wkład w realizację „długofalowego programu rozwoju współpracy w dziedzinie nauki, techniki i produkcji” sięgającego roku 2000. 50 proc. ujętych w rocznym protokole wymian wyrobów jest rezultatem specjalizacji i kooperacji produkcyjnej między przedsiębiorstwami NRD i ZSRR, są w tym liczne nowe i udoskonalone wyroby, które odpowiadają najwyższemu wymogom naukowo-technicznym. W szerszym zakresie uwzględniono również dostawy maszyn i urządzeń służących rozwojowi zaawansowanych technologii i dalszemu umacnianiu bazy materiałowo-technicznej gospodarki obydwu krajów.

NRD wyeksportuje do ZSRR m.in. linie produkcyjne dla nowo otwartej linii żelazowej „Mukran” — Kłajpeda, wyroby elektroniczne, urządzenia dla kopalni odkrywkowych, walcarki drutu oraz wyposażenie dla przemysłu spożywczego. Radziecy kontrahenci otrzymają ponadto z NRD maszyny włókiennicze, urządzenia dla przemysłu chemicznego, w tym dla petrochemii, maszyny budowlane, pompy, sprężarki, maszyny poligraficzne, urządzenia dla łączności, maszyny rolnicze, sprzęt i instrumenty medyczne, pojazdy szynowe oraz urządzenia dla przemysłu samochodowego.

ZSRR dostarczy NRD w roku 1987 w większym zakresie wyroby przemysłu metalowego. Należy tutaj wymienić obrabiarki, koparki na szynach, urządzenia dla przemysłu metalowego, urządzenia podnośnikowe i transportowe, sprzęt dla poszukiwań geologicznych i maszyn geologicznych, maszyny włókiennicze, urządzenia dla przemysłu chemicznego i drzewnego, maszyny budowlane i drogowe oraz urządzenia energetyczne i elektrotechniczne. W skład radzieckiego eksportu do NRD wejdą ponadto maszyny ciężkie specjalnego przeznaczenia i specjalistyczne maszyny transportowe, technika lotnicza i samochody osobowe.

Bardzo wysoką dynamiką wzrostu będą się charakteryzowały dostawy wyrobów mikroelektroniki. NRD dostarczy do ZSRR m.in. specjalne wyposażenie technologiczne, urządzenia dla przetwarzania danych, elektroniczne maszyny kasujące, a sprowadzi z Kraju Rad elektroniczne urządzenia pomiarowe, urządzenia elektronicznego przetwarzania danych, mikroprocesory, sprzęt dla komputerów oraz szeroki asortyment obwodów scalonych. Między obydwoma krajami nastąpi szeroko zakrojona wymiana maszyn i sprzętu rolniczego.

Dla gospodarki narodowej NRD wielkie znaczenie będą miały stabilne dostawy radzieckich surowców. Obejmą one podobnie jak w poprzednich latach — ropę naftową, gaz ziemny, węgiel kamienny i koks, rudy żelaza, surowiec żelaza, stal walcowaną, metale kolorowe, celulozę, papier i tkaniny, barwniki, tarcie oraz produkty chemiczne.

Ze swej strony NRD dostarczy do ZSRR także produkty chemiczne jak środki ochrony roślin, lakiery i farby, chemikalia dla prac laboratoryjnych, poliolefiny, środki chemiczne dla przemysłu włókienniczego i sody. W roku 1987 wzrosną również wzajemne dostawy artykułów konsumpcyjnych — podjęła na zakończenie ADN.

### Więcej samochodów

Dobra wiadomość dla amatorów czterech kółek w NRD nadeszła ostatnio z fabryki samochodów osobowych w

Eisenach — pisze agencja DPA: produkcja poszukiwanego przez mieszkańców tego kraju Wartburga ma do roku 1988 wzrosnąć do 100 tysięcy sztuk, czyli o jedną trzecią. Wynika to z nieoficjalnych informacji podanych przez dyrektora fabryki. Obecnie każdego roku z tamtą fabrykę w Eisenach schodzi 1000 pojazdów. Ponadto — jak wynika z informacji dyrektora — począwszy od roku 1988 Wartburg otrzyma cztery surowy silnik Volkswagena, który w Eisenach będzie montowany na licencji. W okresie „znacząco późniejszym”, który nie został sprecyzowany, Wartburg ma otrzymać nową karoserię, która będzie odpowiadała „trendom międzynarodowym”.

Fabryka samochodów „Sachsenring” w Zwickau zwiększy również w najbliższych latach produkcję najbardziej popularnego w NRD, małopiętowego samochodu Trabant. Wynika to z informacji podanych przez dyrektora tych zakładów — wskazuje DPA. Jeśli w roku bieżącym z tamtą fabrykę zejdzie łącznie 143 700 pojazdów, to w roku 1990 wyprodukują się ich około 175 000 sztuk. Produkcji samochodów osobowych w NRD oczekują — pisze DPA — ze względu na przewidywany wzrost produkcji pojazdów okresy ekwiwania na możliwość ich kupna będzie się stopniowo zmniejszać. Obecnie okres oczekiwania na Wartburga wynosi w Berlinie do 12 lat, a na Trabanta około 10 lat. Na prowincji okres ten jest jeszcze dłuższy.

## Partnerskie więzi miast NRD i RFN

Kolejne miasta w Niemieckiej Republice Demokratycznej i Republice Federalnej Niemiec rozpoczęły partnerską współpracę i wymianę. Tym razem są to Weimar w NRD i Trewir w RFN. Przedstawiciele obydwu miast spotkali się na początku grudnia i omówili perspektywy współpracy. W przyjętym na zakończenie rozmów wspólnym komunikacie stwierdzają, że gotowość obu miast do współpracy ma przyczynić się do osiągnięcia i utrzymania pokoju w Europie. Delegacjom przewodniczyli: zastępca burmistrza Weimaru Karl-Heinz Drenthard oraz burmistrz Trewiru Felix Zimmermann (CDU).

Weimar i Trewir są kolejnymi przykładami nawiązywania coraz bliższych więzi między miastami, regionami, uczelniami i różnorodnymi instytucjami w NRD i RFN. W ostatnich miesiącach porozumienia w tej sprawie zawarły Eisenhuettenstadt (NRD) i Saarbrücken (RFN) oraz Schwerin (NRD) i Wuppertal (RFN). W trakcie przygotowań znajdują się umowy partnerskie między Jeną (NRD) i Erlangen (RFN) oraz Lubbenau (NRD) i Neunkirchen (RFN).

## Za Łabą

### Problemy graniczne

W Kassel odbyło się 79 posiedzenie wspólnej komisji granicznej NRD-RFN utworzonej po podpisaniu między obydwoma krajami układu o podstawach normalizacji stosunków pomiędzy obywatelami. Delegacja NRD uczestnicząca w pracach komisji granicznej poddała w wątpliwość na posiedzeniu tej komisji twierdzenia oficjalnych przedstawicieli rządu RFN, że nie istnieje żadna potrzeba podejmowania działań dla uregulowania sprawy przebiegu granicy na Łabie. Przewodniczący delegacji NRD dr Volkmar Fenzlein wskazał w związku z tym, że NRD i RFN uzgodniły w tym układzie konieczność ponownego zbadania sposobu wyznaczenia istniejącej granicy między obydwoma krajami, a jeśli będzie to konieczne — ponownego jej wyznaczenia i przygotowania wymaganej dokumentacji granicznej. „Tak więc obydwie państwa już przed 15 laty stwierdziły zgodnie, iż istnieje konieczność uregulowania sprawy odnoszącej się do wspólnej granicy państwowej” — zaakcentował dr Fenzlein. Nastąpiło to w zgodzie z potwierdzeniem nienaruszalności granicy i zobowiązaniem się do nieograniczonego poszanowania integralności terytorialnej

W ogóle, do stałego rozwoju bazy materialno-technicznej spółdzielczości miejskiej w Zielonogórskim przywiązuje się dużą wagę. Decyduje tu świadomość, iż dzięki niej można lepiej zaspokajać potrzeby wsi w jej różnych dziedzinach, że dzięki niej tysiące pracowników spółdzielczości i działaczy może lepiej wypełniać swoje obowiązki. I uczciwie należy przyznać, że pomimo gnębiących nas kłopotów gospodarczych, spółdzielczość zielonogórska wychodzi z nich często obronną ręką, podejmując nowe inicjatywy, jak chociażby uruchomienie Zakładu Produkcji Pieczywa Cukierniczego „Magnolia” w Lubsku, który z roku na rok zwiększa swoją produkcję, podnosząc zarazem jej jakość, co w efekcie umożliwiło eksport wyrobów, stanowiący obecnie 12,5 proc. całości produkcji. Inną cenną inicjatywą są organizowane od 1982 roku targi rolnicze, obejmujące swoim zasięgiem już cały kraj, dzięki którym do chłopskich i spółdzielczych magazynów trafiały towary wartości 1,239 mln zł, w 1986 roku — wartości 423 mln zł. To tylko niektóre przykłady efektywnej działalności zielonogórskich spółdzielców.

O satysfakcjach płynących z dorobku,

ale i niedostatkach wynikających z ciągłego niezaspokojonych potrzeb rolnictwa szeroko dyskutowano na Zjeździe Delegatów WZSR, który obradował przy końcu ub. roku. Oceniono cztery minione lata. O wynikach mówili prezes Edmund Hyża, informując m.in. iż na poprawę bazy materialno-technicznej wydatkowano łącznie 3,5 mld zł, w tym na inwestycje 1,900 mln zł, a na remonty — 1,600 mln zł. Te fundusze umożliwiły wybudowanie ponad stu nowych obiektów o różnym przeznaczeniu. Obecnie w budowie znajduje się 55 obiektów o wartości kosztorysowej 1,700 mln zł. Warto przy okazji dodać, że większość tych inwestycji realizuje się własnymi siłami brygad remontowo-budowlanych.

Zarówno w wystąpieniu prezesa Hyży, jak i delegatów oraz gości Zjazdu — w tym I sekretarza KW PZPR Zbigniewa Niemieńskiego — realnie oceniono duży dorobek zielonogórskiej spółdzielczości, ale również realnie określono rosnące potrzeby społeczne i gospodarskie — potrzeby produkcyjne, usługowe i społeczno-kulturalne.

KRZYSZTOF KLON

zgodnie z artykułem 3 układu. „W tym przypadku chodzi o fundamentalne postanowienie układu, które pozostaje w zgodzie z odpowiedzialnością obydwu państw niemieckich za utrzymanie pokoju i rozwój współpracy w Europie” — oświadczył kierownik delegacji NRD. „Sytuacji merytorycznej i prawnej oraz zobowiązaniom traktatowym przeciwnie sprzeczające się do twierdzenia, że nie istnieje konieczność uregulowania dotychczasowego przebiegu granicy na Łabie. Tym samym nie wysiadać się do dobrej przysługi stosunkom między Niemiecką Republiką Demokratyczną a Republiką Federalną Niemiec, ich dalszemu rozwojowi w kontekście ustanowienia sytuacji normalnej i dobrośiądek”. NRD w zdecydowany sposób przeciwstawia się „blokowaniu i odsuwaniu w czasie uregulowania zagadnienia przebiegu granicy na Łabie, co do którego istnieje traktatowy obowiązek i odpowiednie zalecenie” — podkreślił dr Fenzlein.

W przypadku Łaby chodzi konkretnie o odcinek, na którym w porównaniu z londyńskim protokołem z 12 września 1944 roku i z podjętymi wówczas rozstrzygnięciami między przyszłymi — radziecką i brytyjską strefą okupacyjną dokonano zmian drogą wielostronną i uzgodnionych posunięć ówczesnych mocarstw okupacyjnych. W ich wyniku cała wschodnia połowa Łaby stała się w roku 1945 częścią radzieckiej strefy okupacyjnej. „Tego typu wyznaczenie granicy obydwu państw niemieckich przyjęto w roku 1949. Ze stanu faktycznego i dokumentów sprawy była im znana w czasie podpisywania układu o podstawach stosunków” — powiedział następnie dr Fenzlein.

Zgodnie z tym zaleceniem w latach 1974-1975 przygotowano dokumentację dotyczącą odcinka granicy na Łabie. „Jej pełne wykorzystanie jest jednakże do tej pory torpedowane przez domagać się przez RFN zmiany przebiegu przebiegu tej roku 1949 granicy i przesunięcia jej na należący do NRD brzeg Łaby — wskazał dr Fenzlein. Nie służy to nikomu, a z pewnością nie mieszkańcom NRD i RFN i użytkownikom Łaby”. Właśnie oni mogliby zyskać na realizacji postulatu dokładnego wyznaczenia granicy.

## Proces kapo z Mauthausen

Zakończył się trwający od 4 miesięcy przed Izba Karną Berlina Zachodni proces Otto Heidemanna, oskarżonego o to, że w latach 1940-1942 jako kapo w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen zamordował w okrutny sposób kilkudziesięciu więźniów, przede wszystkim Polaków.

Po zakończeniu postępowania dowodowego — niektóre przesłuchania świadków dokonane zostały na terenie Polski — przed sądem wystąpił oskarżyciel publiczny. Uznał on, że proces udowodnił Heidemannowi zamordowanie w bestialski, okrutny sposób, z niskich pobudek — 24 osób, w większości Polaków. Ten obecnie 74-letni „nadszłowiek”, nazywany w obozie, ze względu na wysoki wzrost, „długą śmiercią”, w dzień w Polakach mało wartościową rasę. „Kupa śmieci miała dla niego większe znaczenie niż życie polskiego więźnia” — powiedział prokurator i dodał, że jest godne ubolewania, iż ten rozdział historii polskiej martyrologii mógł zostać opracowany dopiero w 45 lat po zbrodni.

Jakkolwiek Heidemann wszystkiemu zaprzeczał, to jednak prokuratura nie widziała powodu, by nie dać wiary zeznaniom świadków, którzy stwierdzili, że Heidemann spychał więźniów w kałużeniolanie w 30-metrową przepaść. Od jesieni 1940 r. do marca 1941 r. co najmniej w dziesięciu wypadkach pozabijali on w ten sposób życia grupki więźniów liczące od 2 do 5 osób. Mimo, że więźniowie błagali o życie, „długa śmierć” nie znalazła ucieczki. Jeden z więźniów został stracony w przepaść za to, że wykołował mu się wózek z urobkiem kamienia.

Heidemann czuł się „panem życia i śmierci”. Zeznania wielu świadków potwierdziły, w jaki sposób ta nie zasługująca na miano człowieka bestia „ukarała” polskiego więźnia osłabionego i wycieńczonego chorobą: „kopniąciami w podbrzusze i uderzeniem w tył głowy” Heidemann obalił swą ofiarę,

po czym tak długo deptał jej gardło, — aż więzień skonał. W innym wypadku Heidemann udusił więźnia, przyciskając mu kij do gardła. Prokurator żądał kary dożywotniego więzienia. Sąd skazał Heidemanna na 10 lat pozbawienia wolności.

## Trudności przesiedleńców

Z wyników badań przeprowadzonych przez ministerstwo spraw społecznych Nadrenii i Północnej Westfalii wynika, że przesiedleńcy z krajów Europy Wschodniej mają bardzo poważne trudności adaptacyjne. W swojej publikacji ministerstwo podkreśla, że ci młodzi ludzie podejmują niezwykle wysiłki, by „sprostać wymogom istniejącym w ich ojczyźnie z wyboru”, osiągnąć wyższy poziom wykształcenia przede wszystkim zawodowego, zdobyć właściwe kwalifikacje, ale mimo to mają oni po tem poważne trudności ze znalezieniem miejsca pracy. Wykształcenie zdobyło około 90 proc. uczestników różnych kursów, jednak tylko 36 proc. tych młodych ludzi mogło podjąć pracę odpowiadającą ich kwalifikacjom zawodowym. Dla prawie 30 proc. znalazła się natomiast tylko praca nie wymagająca żadnych kwalifikacji a około 20 proc. pozostało w ogóle bez pracy.

Adaptacja społeczna tych ludzi jest

więc bardzo trudna. Wiele młodych osób odnosi wrażenie, iż są tu traktowani jako niechętni cudzoziemcy a nie jako niemieccy rodacy. W ostatnich latach — jak podkreśla wspomniane ministerstwo — trudności te jeszcze się zwiększyły, ponieważ rodzice młodych przesiedleńców praktycznie nie znają języka niemieckiego. Tymczasem wrośli wymagania językowe w procesie nauczania, zwłaszcza kształcenia zawodowego. Na losach przesiedleńców odbija się w dodatku zaostrzona sytuacja na rynku pracy, zmniejszyła się również bardzo poważnie pomoc finansowa dla przesiedleńców, przeznaczona na ułatwienie im procesu integracji.

Z danych przytoczonych we wspomnianym studium wynika, że od 1956 r. do Nadrenii i Północnej Westfalii przybyło prawie 170 tys. przesiedleńców z Europy Wschodniej, w tym bez mała 140 tys. z Polski. Cała tutejsza prasa (z wyjątkiem rewizjonistycznej) przyznaje, że w Polsce nie ma już aktualnie żadnej właściwie mniejszości niemieckiej, gdyż wszystkim, którzy sami się do niej zaliczali, umożliwiono w swoim czasie wyjazd na stałe do RFN.

## KOMUNIKAT WYDAWCY

Zawiadamiamy P.T. Czytelników, że rosnące koszty niezależne od wydawcy, zwłaszcza ceny papieru, koszty druku, transportu i łączności, zmuszają Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe do zmiany ceny dwutygodnika „Nadodrza”. Od numeru 2 (633), który ukazuje się w datę 26 stycznia — 7 lutego 1987 r. wynosić ona będzie 20 złotych.

Informując o tym liczymy na zrozumienie ze strony czytelników. Pragniemy zapewnić, że dzięki naszym i redakcji będzie doskonałemu jakości i atrakcyjności „Nadodrza”, aby coraz lepiej spełniało oczekiwania odbiorców. Liczymy w tym mierze na dalszą pomoc, rady, propozycje i sugestie tych czytelników, którzy od lat wiernie towarzyszą „Nadodrzu”, wybacząc błędy i potknięcia.

Jednocześnie informujemy, że w stosunku do prenumeratorów nowa cena wchodzi w życie po wygaśnięciu opłaconych okresów prenumerat.

Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe



# W Żarach o Łużycach

Z okazji 30-lecia Żarskiego Towarzystwa Kultury odbyła się w Żarach II Międzynarodowa Sesja Sorabistyczna z udziałem delegacji zupy powiatowej Związku Serbów Łużyckich „Domowina” z Belej Wody, z którą ZTK współpracuje już od kilku lat.

Łużyce Wschodnie z ich przeszłością historyczną i bogatym dziedzictwem kulturalnym przeżyliśmy w zobowiązującym spadku kulturowym po Serbach Łużyckich. Żary leżą w centrum tej krainy. Jest ambicją ZTK, aby to miasto, leżące w połowie drogi między Zgorzelcem a Gubinem, było nie tylko centrum geograficznym Łużyc Wschodnich, ale także centrum sorabistycznym.

W 1932 r. kiedy faszyści nie byli jeszcze u władzy, ale Niemcy byli już skutecznie zatrute jadem nazizmu, szwajcarski pisarz, Paul Keler, tak pisał o Serbach Łużyckich:

„Serbowie — albo jak my, Niemcy, ich nazywamy, Wendowie — jeden z tych narodów, które istnieją tysiąc lat nie mając żadnej historii, które się zstęszają, zanim jeszcze były młode!... Tysiącletnim narodem są Wendowie, bez historii, bez literatury, bez sztuki, bez żadnego postępu...”

Prawda jest zgola inna. Same tylko Łużyce Wschodnie wydały wielu wielkich synów tego najmniejszego z narodów słowiańskich, jednego z ocalałych spośród ludów Polabii. Z Trzebiecia pochodzi Jan Benedykt Solfa, filozof, greysta i lekarz Zygmunta Starego, z Łubka wywodzi swój ród Jan Rak, pierwszy poeta łużycki. Obydwaj ci Łużycanie byli przyjaciółmi Mikolaja Konernika. Z podżarskich Łubanie pochodzi najstarszy zabytek języka dolnołużyckiego, tzw. Ewangeliarz z 1548r., dzieło pastora Mikolaja Jakubicy. Tutaj też, w Grotowie, działał u schyłku XVII wieku ks. kan. Franciszek Jakub Kócha, wybitny patriota, znany ze swojej koncepcji resorbcacji powiatu przewoskiego. Plan ten dotyczył zaludnienia tego rejonu Serbami z Górnych Łużyc — skąd i sam Kócha pochodził — po wielkich ubytkach ludnościowych z okresu wojny 30-letniej.

Na tej ziemi, wzdłuż Bobru i Kwisy, kolana Odry i błęgi Pilski, spotykały się jeszcze w XVII wieku dialekt polskie z łużyckimi, tutaj wreszcie, w początkach XIX stulecia, rozbrzmiewała żywa mowa autochtonicznego ludu łużyckiego tej krainy. Nie brak również i tradycji polskich. W okolicach Gubina wędrował przed stu laty znany uczyony łużycki, patriota i działacz narodowy, prof. Arnost Muka w towarzystwie polskiego łużykofila, Alfonsa Parczewskiego. W żarskim gimnazjum zachował się okazały zbiór dzieł czołowych twórców epoki odrodzenia, Kochanowskiego, Górnickiego, Opalińskiego, pochodzących ze znanych oficyn doby renesansu od Krakowa aż po Królewicę.

W 1864r. bawił na Błotach Wielkopolański, Władysław Trelewski. Jego droga wiodła z Poznania przez Żary, Gubin, Chociebuż do Bórkow. Trelewski z żalem opuszczał najpiękniejsze zakątki Łużyc, pełen troski o los pokrewnego nam plemienia Słowian, „które Bog wie — jak pisał — czy jeszcze następujące po nas pokolenie znajdzie pomiędzy żyjącymi narodem?” Wbrew tym pesymistycznym przewidywaniom ten dzielny naród żyje i tworzy rozwijając swoją bogatą kulturę.

Szukając rodowodu żarskiej sorabistyki sięgamy więc słusznie po nazwiska A. Parczewskiego, Wł. Trelewskiego, a także Władysława Karwińskiego i Leszka Rościszewskiego. Nie wiedziliśmy dotąd w swojej ignorancji, że do listy tej pretentuje słusznie kilka innych znanych nazwisk. Stoi bowiem u jej źródeł również znakomita postać sorabisty, Alojzego Stanisława Matyniaka. Serdeczne wiązki łączą go z Łużycami od ponad pół wieku, od momentu, kiedy w auli krotoszyńskiego gimnazjum usłyszał po raz pierwszy z ust prof. Józefa Kostrzewskiego o kulturze łużyckiej.

Ludzie mojego pokolenia pamiętają, że w ostatnich latach przed wojną Niemcy nadawali z Wrocławia prowokacyjną, antypolską audycję radiową w naszym języku: „Czy to nie dziwne?” Młody Matyniak zareagował na nią w prasie poznańskiej podpisując się wymownie jako „Theophil von Plauderei”. W warunkach konspiracyjnych stworzył on Polski Ruch Obrony Łużyc „Proluż”. W latach 1945-49 był prezesem Akademickiego Związku Przyjaciół Łużyc „Proluż”. Jego kontakty z Żarami sięgają po 1948r. Później badał pogranicze śląsko-łużyckie na odcinku łubuskim. W maju 1959r. wygłosił szereg wykładów na temat Łużyc, poczynając od prelekcji podczas zjazdu historyków „Ziemi żarsko-żagańskiej”, na

który zaprosił go z Wrocławia ówczesny sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Kultury, red. Janusz Koniusz. Wówczas też odbyła się w Zielonej Górze pierwsza na tej ziemi sesja sorabistyczna.

Ostatnio A. St. Matyniak bawił w Żarach na zaproszenie ZTK i wziął udział w obchodach 30-lecia naszego Towarzystwa oraz w sesji sorabistycznej, której miałem przyjemność przewodniczyć. Wysoko ocenił działalność sorabistyczną Żarskiego Towarzystwa Kultury. Jego udział w sesji niejako nobilitował żarską sorabistykę, a właściwie szerzej, całą społeczną sorabistykę Łużyc Wschodnich. W sesji brał bowiem udział przedstawiciel Zielonej Góry, Łubka, Żagania i Żar, a także bracia Matyniacy, dla których główny obszar naukowego zainteresowania stanowią Górne Łużyce Wschodnie.

W Żarach Matyniak spotkał się także z dr Wiesławem Sauterem, byłym prezesem LTK, który swego czasu jako wizytator poznańskiego Kuratorium zatwierdzał statut AZPL „Proluż”. Tak więc lista łubuskich przyjaciół Łużyc wydłuża się, a nie jest ona jeszcze pełna, wszak w latach 1931-32 bawił w Łęknicy prof. Zdzisław Stieber, który badał dialekt mużakowski. Możliwość goszczenia ich w Żarach stanowiła dla nas zaszczyt i przyjemność.

Wszystko to niewątpliwie cieszy, zwłaszcza udział w sesji młodzieży żarskich szkół średnich, spotkanie zaledwie w kilkanaście dni po sesji w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Żarach zarówno młodzieży jak i nauczycieli z redaktorem naczelnym „Nowego Casnika”, Horstem Adamem i red. Januszem Koniuszem — obecność zespołu „Łużycanie” z Działoszyna z 92-letnią Anną Barteką, nota bene de domo Łużyczanką.

Ruch sorabistyczny zatacza coraz szersze kręgi dzięki tak żarskim jak i łubuskim inicjatywom. Coraz szersza społeczność Łużyc Wschodnich nie tylko wie, ale jest przekonana, że mieszka na starej słowiańskiej ziemi, zaś owe przemiany w świadomości ludzkiej, to właśnie ten trudny dostrzegalny ale najbardziej satysfakcjonujący naszą działalność element. Niezaprzeczalny jest więc jej walor patriotyczny i wychowawczy, wspomagający antyrewizjonistyczne cele w działalności Stowarzyszenia „Wisła-Odra”. Pierwsza linia obrony kraju — jak to sformułował red. Męclewski — przebiega przecież w świadomości Polaków.

Uważamy, że łużyckie tradycje obywatelskie, wzmocnione z obydwu stron Nysy stanowią doskonały pomost we współpracy narodu polskiego i narodu NRD, w tym także jej obywateli narodowości łużyckiej. Wyrazem tej współpracy były obydwie sesje łużyckie, wymiana wystaw, kontakty kulturalne i naukowe, wzajemne, zawsze pozytywne odwiedziny, słowem nasza współpraca z Kulturbundem i „Domowiną”. Udział delegacji z NRD uświetnił uroczystości 30-lecia ZTK. Również i my pamiętamy o rocznicach upamiętniających wielkie wydarzenia w dziejach Łużyc. Często stanowią one konkretne impulsy naszego działania. Rok 1987 niesie ich wiele. Jest jednak wśród nich jedna rocznica szczególna. To 75-lecie Związku Serbów Łużyckich „Domowina”, najstarszej organizacji społecznej w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Zamierzamy ją uczcić wielką sesją sorabistyczną z udziałem europejskich znakomitości sławistycznych. Przewidujemy udział uczonych łużyckich, ludzi tej miary co prof. Brankać, prof. Sewe czy dr Metsk, prof. Ludmilla Pawłowna Laptewa z Uniwersytetu im. Lomonosowa z Moskwy, prof. Jan Petr z Uniwersytetu Karola w Pradze, a nawet prof. George Stone z Anglii. Sesja zostanie zorganizowana wspólnie z Komitetem Słowiańszczyzny PAN w Poznaniu, którego pracownikiem naukowym, dr Tadeusz Lewaszkiewicz jest stałym referentem żarskich sesji. Ostatnio mówił bardzo ciekawie na temat dialektu Jakubicy, a więc mowy Łużyczan z okolic Żar.

Nieprzemijający jest bowiem dorobek kulturalny Serbów Łużyckich, podziwu godny narodu, którego pisana historia liczy sobie 14 wieków. To dziedzictwo otrzymane w zaszczytnym i zobowiązującym spadku kulturowym będziemy poprzez naszą działalność sorabistyczną w Żarach stale rozwijać i pomnażać.

WITOLD PIWOŃSKI

Jestem przekonany, że tym razem właściwie zatytułowałem swój artykuł. Przed trzema laty z okazji ćwierćwiecza sekcji wydawniczej Lubuskiego Towarzystwa Kultury na łamach „Nadodrze” pisałem: „I gdyby marzenie moje stało się rzeczywistością, Zielona Góra miałaby ośrodek wydawniczy, który niewątpliwie przyczyniłby się do wzmocnienia tętna życia umysłowego na ziemi, której nikt nigdy niczego nie dał. O wszystko Lubuszanie zabiegali sami. O Teatr, o Filharmonię, o Festiwal Piosenki Radzieckiej, o uczelnie, o środowiska twórcze. Więc może i nasze wymarzone wydawnictwo będzie?” Po latach milczenia odezwały się pierwsze głosy, popierające moje wołanie. Ucieszyłem się! Ucieszyłem się jeszcze bardziej, gdy podczas uroczystego zebrań z okazji dwudziestopięcioletnia działalności Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze dr Krzysztof Kaszyński, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, powiedział, że polityczne i administracyjne władze województwa zabiegają o to, by w stolicy regionu posiadała filia albo samodzielne wydawnictwo państwowe. Sekretarz zaznaczył, że nie jest to sprawa do załatwienia na początku 1987 ani nie za-

ło Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, wydawca m.in. „Panoramy Północy”, „Warmi i Mazur” oraz książek. Pierwszy olsztyński tytuł prasowy po latach przestał się ukazywać, „Warmi i Mazury” przejął RSW „Prasa-Książka-Ruch”, a wydawnictwo książkowe usamodzieliło się i jest dobrze prosperującą firmą.

W Zielonej Górze na przełomie lat 1957/58 ukazała się pierwsza książka z znakiem LTK — Kazimierza Malickiego i Zygmunta Rutkowskiego zbiór legend i baśni łubuskich pt. „O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych ryćcach”. W nakładzie 40 tysięcy egzemplarzy. Do dziś publikacja ta uważana jest za jedną z najładniej wydanych w Zielonej Górze. Od tego się zaczęło. Książki redagowane w oficynie LTK reprezentują podstawowe gatunki literackie, choć profil wydawniczy LTK nigdy nie został jasno określony. Mimo to wszystkie publikacje w jakiś sposób są związane z regionem łubuskim. W ciągu 29 lat w LTK opracowano redakcyjnie i wydano 192 tytuły o objętości 1200 arkuszy wydawniczych, w nakładzie 330 tysięcy egzemplarzy. W pierwszych latach istnienia LTK (1958-1970) ukazało się aż 117 tytułów; w naj-

leńszych i wspomnianie „Mój dom nad Odrą”, w Edwarda Czernika „Przeskoczyłem siebie”, Mieczysława Turskiego „Początki początków”. W serii „Zeszyty Lubuskie” ukazały się 22 monografie miejscowości łubuskich, Dorobek LTK to także kilka przewodników turystycznych, leksykony „Przemiany, perspektywy”, zbiory reportaży „Dzień pierwszy, dzień drugi”, „Dni następne”, „Nauka chodzenia”. Dorobek ten uzupełniają publikacje o charakterze naukowym, katalogi, materiały z sesji naukowych. Nie wspominałem jeszcze o prozie i poezji, blisko 50 tytułach autorów miejscowych, członków ZLP i SAP. W oficynie LTK ukazała się pierwsza w Polsce antologia poezji autorów NRD — „Dopóki serce bije” w przekładzie Eugeniusza Wachowiaka.

Bogaty dorobek wydawniczy posiada Lubuskie Towarzystwo Naukowe, specjalizujące się w ogłaszaniu drukiem publikacji z zakresu historii regionu, matematyki, pedagogiki, ale i wydające książki z zakresu geologii, gospodarki wodnej, słowniki biograficzne, monografie miast i zakładów pracy. Wiedzę o regionie propaguje Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, który ogłasza prace przede wszystkim dziennikarzy. Dzia-

## LUBUSKA DROGA DO WYDAWNICTWA

Alfred Siatecki



leży tylko od dobrej woli władz lokalnych.

W przyjętym przez Wojewódzką Radę Narodową programie rozwoju kultury w województwie do roku 1990 o potrzebie powstania wydawnictwa nie ma ani słowa. Program był uchwalony dosłownie kilka dni wcześniej przed obchodami jubileuszowymi ZLP. Zresztą w tym programie nie mówi się o wielu innych problemach do rozwiązania. Wiele miejsca sprawom upowszechniania czytelnictwa prasy i książek poświęca uchwała KW PZPR z roku 1983. Mówi się w niej o rozwoju przemysłu poligraficznego, o potrzebie powołania w Zielonej Górze redakcji gazety popołudniowej, a także wspomina o doskonaleniu działalności wydawniczej.

Więcej we mnie optymizmu niż pesymizmu. Wierzę, że za kilka lat w każdej księgarni polskiej będzie można kupić dobrą książkę wydaną w Zielonej Górze. Prawdę mówiąc, od lat ukazują się książki redagowane w stolicy śródkowego Nadodrza, miejscowych autorów, wydrukowane w tutejszych zakładach graficznych. Wydawcą większości publikacji jest Lubuskie Towarzystwo Kultury.

LTK powstało na fali popędziennictwa przemian 1966 roku, jako jedno z pierwszych tego typu stowarzyszeń w kraju. Postawiło sobie za cel główny krzewienie wśród społeczeństwa łubuskiego miłości do regionu, jego tradycji historycznych, folkloru, krajoznawstwa. Nie zbędne przeto było integrowanie ludności miejscowej z przybyłą z Bugu, z Mazowsza, Małopolski, Wielkopolski, Wileńszczyzny. Integracji towarzyszyła aktywizacja ludności w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym. Założone cele LTK od samego początku przagnęło osiągnąć przez kształtowanie świadomości społecznej przy pomocy m.in. wydawnictw periodycznych i książkowych. Wtedy to Towarzystwo wydało kilka numerów „Nadodrza”, w charakterze jednodniówek, które szybko stało się miesięcznikiem, a po przejęciu przez RSW „Prasa” — półmiesięcznikiem i dwutygodnikiem. Obecnie trwa starania o to, by mające już 30 lat „Nadodrze” było tygodnikiem społeczno-kulturalnym. Wraz z uruchomieniem społecznej redakcji „Nadodrza” animator wielu ówczesnych poczynąń Tadeusz Jasiński opracował statut i koncepcję przyszłej Spółdzielni Wydawniczej „Zarzewie”, która miała być wydawcą czasopiśma „Zarzewie” i pierwszą łubuską oficyną wydawniczą. Dla czego pomysły T. Jasińskiego zostały tylko na papierze, trudno powiedzieć. W tym samym czasie w Olsztynie powsta-

łym 1970 r. — 18, w 1963 r. — 15, w 1965 r. — 14. Po roku 1970, kiedy to wyraźnie osłabła wszelka działalność społeczna, ilość wydawnictw LTK zmalała: 1972 r. — 5, 1974 r. — 4, 1975 r. — 3. Ożywienie działalności wydawniczej nastąpiło po roku 1981, kiedy to autorzy zielonogórscy złożyli w sekcji wydawniczej LTK ponad 40 prac. Z różnych względów nie wszystkie mogły się ukazać i się ukaza, ale większość z nich wyjdzie drukiem. W 1985 r. LTK wydało 11 książek, w 1986 r. — 6, w obecnym roku — na pewno 7. Nakłady książek LTK w zasadzie nie przekroczyły 10 tysięcy egzemplarzy, najczęściej wynosiły one 1-2 tys. i nie były wznawiane. Wydawnictwo LTK nie było umiowane w centralnych rozdziałach papieru drukarskiego i kartonu, a swoją działalność prowadziło na podstawie jednorazowych zezwoleń Ministerstwa Kultury i Sztuki. Działalność tę ograniczał niedostatek środków finansowych, dlatego często była ona dotowana przez inne organizacje, m.in. przez Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich, Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, rady narodowe.

Na początku swojej działalności LTK, prócz wydawania miesięcznika „Nadodrze”, wydawało „Rocznik Lubuski”, w 1966 r. przejęty przez Lubuskie Towarzystwo Naukowe. W miarę systematycznie ukazywały się „Kalendarze łubuskie”, pozycje w serii „Biblioteka łubuska”, „Zeszyty Lubuskie” od roku zaś — „Skarbiec Lubuski”. Nikt nigdy nie kwestionował dorobku wydawniczego LTK, przeciwnie, Towarzystwo było nagradzane za tę działalność, a wiele publikacji trafiało także do bibliotek za granicznych. Zastanawiam się, kto, gdyby nie LTK, przy pomocy książek i periodyków popularizował region łubuski, osiągnięcia mieszkających tu uczonych, pisarzy, kompozytorów, twórców ludowych. Przypomnijmy, że w oficynie LTK ukazywały się takie pozycje, jak: Kazimierza Sautera „Śpiewnik babimojski”, Stefana B. Poradowskiego „Słownik łubuski”, Janusza Koniusza „Tadeo Polacco z Zielonej Góry”, Wiktora Lemiecha „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma”, Joachima Benyskiego wiersza i Janusza Koniusza „3:0 dla polskości”, pod redakcją Joachima Benyskiewicza „Słownik Pogranicza”, Władysława Korczy „Szkice z dziejów miast śródkowego Nadodrza”, „Literaci śródkowego Nadodrza”. O najważniejszych dziejach regionu łubuskiego traktują pozycje w serii „Skarbiec Lubuski”, adresowane do młodego pokolenia, członków kół miłośników regionu. Historia powojenna zawarta jest w 6 zbiorach pamię-

łnością wydawniczą zajmują się regionalne stowarzyszenia społeczno-kulturalne, i placówki upowszechniania kultury, głównie muzea, i obie zielonogórskie uczelnie.

Zadna (wyjątek uczelnie) zielonogórska oficyna wydawnicza nie zatrudnia na etatach redaktorów merytorycznych, technicznych, korektorów, grafików, żadna nie otrzymuje przydziału papieru. Są to więc od początku do końca oficyny społeczne. Ale w ciągu minionych lat wykształciło się w Zielonej Górze kilkoro wydawców, niektórzy ukończyli nawet studia poligraficzne, zdołali doświadczenie, ich prace (czytaj: przygotowanie do druku i wydanie książki) nie różnią się od dzieł profesjonalistów.

Prawie wszystkie książki są drukowane w Zielonogórskich Zakładach Graficznych, istniejących od 1945 r. Zakłady specjalizują się w drukach akcydencyjnych, stąd pochodzi większość etykiet na butelki z wódką, instrukcje techniczne do obsługi maszyn, opakowania. Produkcja dziełowa stanowi tylko 30 procent produkcji ZGG, a to między innymi dlatego, że zakłady nie posiadają wielu maszyn niezbędnych przy druku i oprawie książek. Rocznie w drukarni powstaje 400 tysięcy egzemplarzy książek o objętości 800 arkuszy wydawniczych. Wydawnictwa państwowe i spółdzielcze uważają, że w Zielonej Górze powstają dobre książki, gdyż jest to jedyna z nielicznych drukarni, w której nie ma maszyn do klejenia stron (tu się jeszcze szyje książki, które po pierwszym czytaniu nie rozpadają się). Od lat głównym zleceniodawcą ZGG są Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Państwowy Instytut Wydawniczy, „Iskry”, Wydawnictwo Poznańskie, a także oficyna zielonogórska. O solidności drukarzy zielonogórskich świadczy i to, że do 1990 roku plan produkcji mają obłożony prawie w całości.

Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe w swoich drukarniach w Zielonej Górze i Żarach wydrukowało kilkadziesiąt książek. Jakość składu, łamania, druku nie jest najlepsza, ale nie oznacza to wcale, że drukarzy prasowych nie stać na wysiłek.

Co jest jeszcze potrzebne do tego, by w stolicy śródkowego Nadodrza powstało wydawnictwo profesjonalne? Możliwości i chęci, jak starałem się przekonać, są. Brak decyzji? No, ale w tej sprawie nawet najzdolniejsi amatorzy niewiele mają do zrobienia. Tu potrzebne jest zdecydowanie i szybkie działanie administracji miejscowej i centralnej. A tego, jak dotąd, było najmniej.

FOT. KRZYSZTOF MĘZYŃSKI



stkich oczekujących na mieszkania i sprawdziły ich warunki mieszkaniowe. Inna sprawa, to konieczność współpracy z wykonawcą polegającą, między innymi, na odstępowaniu puli mieszkań budowlanym, inaczej trudno oczekiwać pożądanego efektów w budownictwie.

— Czy to jest normalne?

— Nie, ale takie są realia. A wykonać nie drogę na osiedlu? Zwracamy się z ofertą do Rejonu Dróg Publicznych, a oni odmawiają tłumacząc się, że to nie należy do zakresu ich działań. — Proponujemy mieszkania i drogi powstają, ale nie za darmo, ani nawet — nie za pieniądze.

W Zielonej Górze istnieje obecnie pięć spółdzielni mieszkaniowych. Największą jest Zielonogórska Spółdzielnia Mieszkaniowa i liczy 15 tys. członków już zamieszkałych. Spółdzielnia inwestuje w dalsze mieszkania, ale plan budowy nowych mieszkań na 1986 rok zakłada uzyskanie o 332 mieszkania mniej niż w roku 1984 i o 157 w stosunku do roku 1983. Jednak obniżanie lotów nie przekreśla faktu, że ZSM jest jak na warunki stutysięcznego miasta spółdzielnią molochem.

Przypadek szczególny: Dozorczynią za trudnioną przez ZSM, Alicja M. zamieszkiwała do niedawna wraz z trojgiem dzieci w wózkowcu w wieżowcu przy ulicy Osiedlowej. Dozorczyni nie była ani kandydatką, ani członkiem spółdzielni mieszkaniowej. Na skutek licznych interwencji — między innymi Rozgłośni PR-kobieta otrzymała mieszkanie.

Pod koniec 1981 roku w ZSM zarejestrowanych było 4112 członków oczekujących na mieszkania oraz 1033 kandydatów, a w WZSM zarejestrowano 11893 kandydatów na członków spółdzielni. Z programu budownictwa mieszkaniowego realizowanego przez ZSM wynikało, że do 1987 roku zostanie wybudowanych około 1700 mieszkań. W tym czasie podjęto już budowę nowego osiedla przy zsoście Kisielińskiej. Program docelowy osiedla Kisielińskiej przewiduje wybudowanie 6 tys. mieszkań. Podjęto decyzję o utworzeniu nowej spółdzielni.

W trakcie kontroli przeprowadzonej w 1986 roku przez NIK i IRCh stwierdzono, że Zarząd ZSM i ZSM nie przestrzegały zasad tworzenia spółdzielni. Za takie uchybienie uznano nie zorganizowanie zebrań grup członkowskich celem wybrania delegatów na zebranie założycielskie nowej spółdzielni; zmniejszenie ustalonej w harmonogramie ilości założycieli ze 125 członków i kandydatów na 60 — po 30 kandydatów na zebranie założycielskie z WZSM i ZSM; nie przestrzeganie zasad typowania członków i kandydatów na zebrania założycielskie. Na 30 kandydatów wytypowanych przez WZSM 10 nie spełniało ustalonych wymagań (brak pełnego wkładu mieszkaniowego, 4 osoby były niepełnoletnie). Czterech kandydatów z ZSM również nie spełniało określonych wymagań.

Z wyjaśnień mgr. inż. Ludwika Owsińskiego, prezesa Zarządu WZSM zaplanowanego o przyczyny kierowania na zebranie założycielskie kandydatów nie spełniających wymagań wynika, że część osób „powzięła” informację o planowanym założeniu spółdzielni i zwróciła się do Zarządu WZSM o wytypowanie ich na członków założycieli. Kto taki „powziął” informację o zakładaniu nowej spółdzielni? Jak się okazało, nie były to osoby w najmniejszym stopniu przypadkowe: Krzysztof W. (syn radcy prawnego WZSM) i Wioletta B. (siostra pracownicy WZSM). Stwierdzo-

no, że dokumenty Wioletty B. a więc wnioski o przydział mieszkania, wnioski o wpisanie do rejestru kandydatów (przyjmowane przez siostrę zainteresowanej), zostały sfalszowane; podano nieprawdziwe dane dotyczące daty urodzenia (1958 rok — faktycznie 1962) oraz datę zgromadzenia pełnego wkładu (podano 6.01.1976, a faktycznie książeczkę mieszkaniową założono w 1980 roku i zgromadzono na niej 200 zł!!!).

Balagan organizacyjny sprawił, że na zebranie założycielskie nowej spółdzielni 18 listopada 1982 roku przybyło 30 osób spoza wyznaczonych przez WZSM i ZSM. Kontrola nie zdolała ustalić, skąd te osoby „powzięły” wiadomość o mającym się odbyć zebraniu założycielskim. Wśród nie zaproszonych osób znalazły się m.in.: Anna A., — córka głównego specjalisty WZSM, ur. w 1962 roku, która zgromadziła wymagany wkład 25 listopada 1982 roku, Edmund G., — zastępca przewodniczącego Społecznej Komisji Mieszkaniowej przy WZSM, który pełny wkład zgromadził 18 listopada 1982 roku, Marek K., — pracownik WZSM, pełny wkład zgromadził 31 grudnia 1982 roku, Sławomir S., — syn pracownika WZSM, pełny wkład zgromadził 7 października 1980 roku. Na zebranie założycielskie przybyło ponadto 23 kandydatów WZSM z wytypowanych 30 oraz 17 członków i kandydatów z wytypowanych 30 przez ZSM. Projekt statutu nowej spółdzielni podpisał 66 osób, które z mocy prawa stały się członkami spółdzielni. Spośród tych osób 3 nie należały do żadnej spółdzielni. Jak się okazało w toku kontroli 37 członków założycieli nie spełniało wymogów określonych w dokumentach związanych z powołaniem nowej spółdzielni, jednak w świetle prawa członkowie spełnili wymagania — członkiem spółdzielni może być każda osoba fizyczna o pełnej zdolności do czynności prawnych, która odpowiada wymogom określonym w statucie. I tak w majestacie prawa, 17 stycznia 1983 roku, w dniu zarejestrowania w Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze spółdzielni mieszkaniowej „Kisieliń” 66 członków

założycieli stało się członkami spółdzielni. Jednak okazało się, że i po tej historycznej dacie 4 osoby nie spełniały wymogów statutu. W rejestrach członków i umów członkowie założyciele umieszczeni zostali w kolejności od nr 1 do nr 66. A wcześniej ustalono, że uczestnictwo w zebraniu założycielskim i nabyte w związku z tym członkostwo nie miało stanowić podstawy do przyspieszenia przydziału mieszkania; nowo powstała spółdzielnia powinna zabezpieczyć płynne przeniesienie członków i kandydatów włącznie z nabytymi przez nich uprawnieniami.

Spółdzielczość jest w dużym stopniu dotowana przez państwo, na przykład opłata za ogrzewanie wynosi 8 zł. za metr kwadratowy, a faktyczna cena wynosi 100 zł. Duża spółdzielnia posiada odpowiednie środki do prowadzenia działalności w zakresie prawidłowej eksploatacji, o co trudniej w spółdzielniach małych. Administracje osiedlowe również działają zgodnie z interesem lokatorów.

Z wypowiedzi inspektorów IRCh:

— To już nie jest normalna sytuacja. Nie sądzę, aby administrowanie tysiącami mieszkań było łatwiejsze i

skrzypiących schodach, mieszkała z synem kobietą, która nie potrafiła walczyć o zamianę obskurnej nory na normalne mieszkanie. A była taka konieczność, może nie ze względów na wygodę czy wrażenia estetyczne, ale z powodu bliskiego powrotu z więzienia jej męża, bandyty i złodzieja, z którym jeśli miała coś wspólnego, to jedynie syna i mieszkanie. I to mieszkanie ponownie miało ich połączyć raczej na złe, bo dobrego się nie spodziewała. Kobieta nie udało się „powziąć” informacji o możliwości zdołania mieszkania przed powrotem byłego męża. Zdarzenia miały przebieg, jak to w takich przypadkach bywa, dość schematyczny: codzienne awantury, nocne ucieczki matki i syna z mieszkania opalonego przez bandziora i jego kumpi, na koniec dwunastoletni chłopiec z ciężkimi obrażeniami ciała trafił do szpitala (nie odzyska już pełnej sprawności), a tatuś wraca na państwowy wózek, co nie jest w stanie niczego już zmienić.

Lista przydziału mieszkań nie jest tylko elementem kabaretu, czy komediowego filmu, często nie napisany do niej suplement zawiera indywidualne ludzkie tragedie i tak należy ją odczytywać.

Jest jeszcze druga strona medalu. Różne instytucje, organizacje społeczne i polityczne atakowane są przez ludzi potrzebujących mieszkań. Ludzie ci kłną i błagają, grożą i argumentują, a kiedy dochodzi do rozmowy o konkretnych okazuje się, że nie uczynili nic w kierunku poprawy własnego losu, spodziewając się, że mieszkanie da im korzyść z decydentów; nie zakładali książeczek mieszkaniowych, nie gromadzili wkładu. I to jest też suplement do listy.

Do listy tak zabagnionej, jak stajnia Augiasza.

PIOTR PIOTROWSKI

## SPÓŁDZIELCZA STAJNIA AUGIASZA

W 1985 roku 25 członków założycieli otrzymało mieszkania, z tego 7 nie ubiegało się o przyspieszenie przydziału. 30 członków założycieli umieszczono na liście podstawowej przydziału mieszkań na 1986 rok (pozostali wystąpili z wnioskami o przesunięcie przydziałów na 1987 rok).

W majestacie prawa przydzielono mieszkania osobom nie posiadającym długiego stażu członkowskiego ani wymaganego wkładu, osoby te otrzymały mieszkania po trzech, czterech latach oczekiwania.

Zdaniem inspektorów IRCh przypadek spółdzielni „Kisieliń” nie jest odosobniony. Podobna żonglerka przepisami miała miejsce w spółdzielni międzyzakładowej „Zacisze” (w programie budowa 1550 mieszkań).

Przypadek pikantny: Nie można powiedzieć, że Zofia K. żyła w zgodnym śladzie ze swoim mężem Stefanem, ale jakoś tam żyli z dwiema córkami w dwupokojowym mieszkaniu. Do czasu. Pewnego razu pan Stefan znalazł sobie inną kobietę, i zamieszkał z nią przy żonie. Zofia K. nie należała do osób staroświeckich i nie robiła w związku z tym mężowi większych awantur. Znała sobie partnera, a w jakiś czas później powiła syna. Córki państwa K. w frunęły z przytulnego gniazda do szkolnych internatów, co tylko w pewnym stopniu zmieniło anormalną sytuację dwóch rodzin w jednym mieszkaniu. Nowy partner Zofii K. ma spore szanse na przydział mieszkania w... 1990 roku.

Czy spółdzielnie mieszkaniowe — mo-  
lochy są w stanie prowadzić działalność zgodnie z interesem społecznym?

Z wypowiedzi wiceprezesa WZSM:

— Nie ma takich opracowań, jednoznacznych stwierdzeń jeśli chodzi o optymalny wariant ilości spółdzielców. Nie ma sensu zatrudnianie etatowych pracowników w małych spółdzielniach, liczących 20-30 mieszkań, także spółdzielnie muszą być administrowane społecznie. Ale z drugiej strony, czy nie lepiej jeśli robią to osoby wykwalifikowane, z odpowiednim przygotowaniem?

przebiegało prawidłowo, niż administrowanie kilkuset mieszkaniami. Mamy przykłady z województwa, że małe spółdzielnie funkcjonują o wiele lepiej i korzystniej z punktu widzenia spółdzielcy. W takich spółdzielniach każda złotówka jest oglądana po kilka razy, zanim się ją wyda. Lokatorzy widzą wyraźnie bezpośredni związek między podejmowanymi decyzjami a ich skutkami. A poza tym nie jest dobrze, jeśli prezes spółdzielni jest większy od prezydenta miasta.

Przypadek tragiczny: Miał miejsce w jednym z mieszkań zielonogórskiej Stajni. W jednym z nich, do którego idzie się wąską uliczką, później przez cuchnącą bramę i klatkę schodową o



Fot. KRZYSZTOF MĘŻYŃSKI

Stanisław L. Machowiak

### Jest większy

Michałowi Kaziowski

Jestem w twojej ciemności  
i nie proszę o światło  
własnych rąk nie podniesiesz  
kiedy uchodzisz słowem

czytelnicy twych książek  
oczekują spotkania  
zapatrzeni w tych którzy  
łękiem kluczą przed tobą

o jak mało o tobie  
słów wpisano w to miasto  
dziś z uporem zamknięto  
drzwi którymi wejść miałeś



### Seans na Foluszowej

Siódmąk dojeżdża się do zakrepu, potem już per pedes, spacerkiem pół godziny. Ludzie starsi idą znacznie dłużej. Niektórzy przyjeżdżają własnymi samochodami, jak np. pewien dyrektor ze Świebodzina, który przywiozł matkę. Czasem udaje się komuś złapać taksówkę. Udaje się, albowiem taksówkarze niechętnie biorą ten kurs ze względu na nierówną drogę.

Na tablicy przy bramie to samo, co na bilecie: „Zarząd Pracowniczych Ogródków Działkowych im. gen. Świerczewskiego w Zielonej Górze”. Pośród ogródków niewielki budynek. Tutaj raz w miesiącu odbywają się seanse bioterapeutyczne. Właśnie jest przerwa, jedni wychodzą, inni wchodzi. Przedstawiciel Ogródków sprawdza bilety. Wewnątrz ciepło, pało można powiesić na wieszaku. Jest 14.30 i do rozpoczęcia brakuje 30 minut, ale salka już w połowie wypełniona ludźmi. Kto pierwszy, temu przypada miejsce na krześle (bo dalej są ławki bez oparcia) i bliżej bioterapeuty.

Przeważają osoby w wieku 40-50 lat, wśród nich więcej kobiet. Jest parę osób w wieku mocno podeszłym, ale są też ludzie młodzi, prezentujący się zdrowo oraz troje lub czworo dzieci z rodzicami. Jest młodzieńca asystentka z zielonogórskiej uczelni, ekonomistka, kreślarka, emeryt MO, żona pracownika drukarni, pielęgniarka i pewien pan z mojej ulicy, ze schorowaną żoną.

Już pełna sala, wszystkie miejsca zajęte, na oko 120-130 osób. Strzępki prowadzonych szepem rozmów. Nagle cisza, bo z przyległego pomieszczenia wychodzi bioterapeuta. Jest wysoki, postawny, barczysty, twarz poważna, ciemna marynarka, śnieżno biała koszula, pasowy krawat. Wygląda dostojnie. Postanawiam go nazywać tu — Mistrzem. Pytania do sali: kto jest dzisiaj po raz pierwszy? Podnosi się kilka rąk. Czy ktoś z obecnych w ostatnim czasie leczony był promieniami Roentgena lub ko-baltem? Czy ktoś ma cukrzycę?

Mistrz informuje, czym jest bioterapia, mianowicie — regenerowaniem organizmu, „zasilaniem” go witalnością. Jest to zjawisko fizyczne, biologiczne i nie należy go utożsamiać z cudotwórstwem. Bioterapia nie jest też leżeniem, bo do leczenia mają prawo lekarze. Poddając się bioterapii, nie należy przerywać leczenia farmakologicznego. Regeneracja czyli uzdrawianie dokonuje się za

pomocą oddziaływania pola magnetycznego, inaczej biopola. Takie pole posiada każdy człowiek, jeden silniejszy, inny słabsze. Pole Mistrza jest nadzwyczaj silne, o czym dowiedział się on przed pięć laty i odtąd poświęcił się uzdrawianiu ludzi. Posiadanie silnego biopola to nie wszystko, bo trzeba też umieć przekazywać „fluidy” innym. Mistrz tę umiejętność ma, teraz my jako odbiorcy musimy się psychicznie odprężyć i „otworzyć”.

„A teraz łączymy ręce, tworząc jeden łańcuch...” Mistrz przynika oczy, na jego twarzy maluje się koncentracja i wysiłek. Równocześnie z głośnika płynie śpiew Elvira Presleya, jeden za drugim nastrojowe utwory. Ludzie zastygają w bezruchu. Niektórzy zdają się drzeć. Tak mija 10, a może 20 minut, aż rozlega się głos Mistrza: „Podnosimy ręce, rozłączamy je i powoli opuszczamy...”

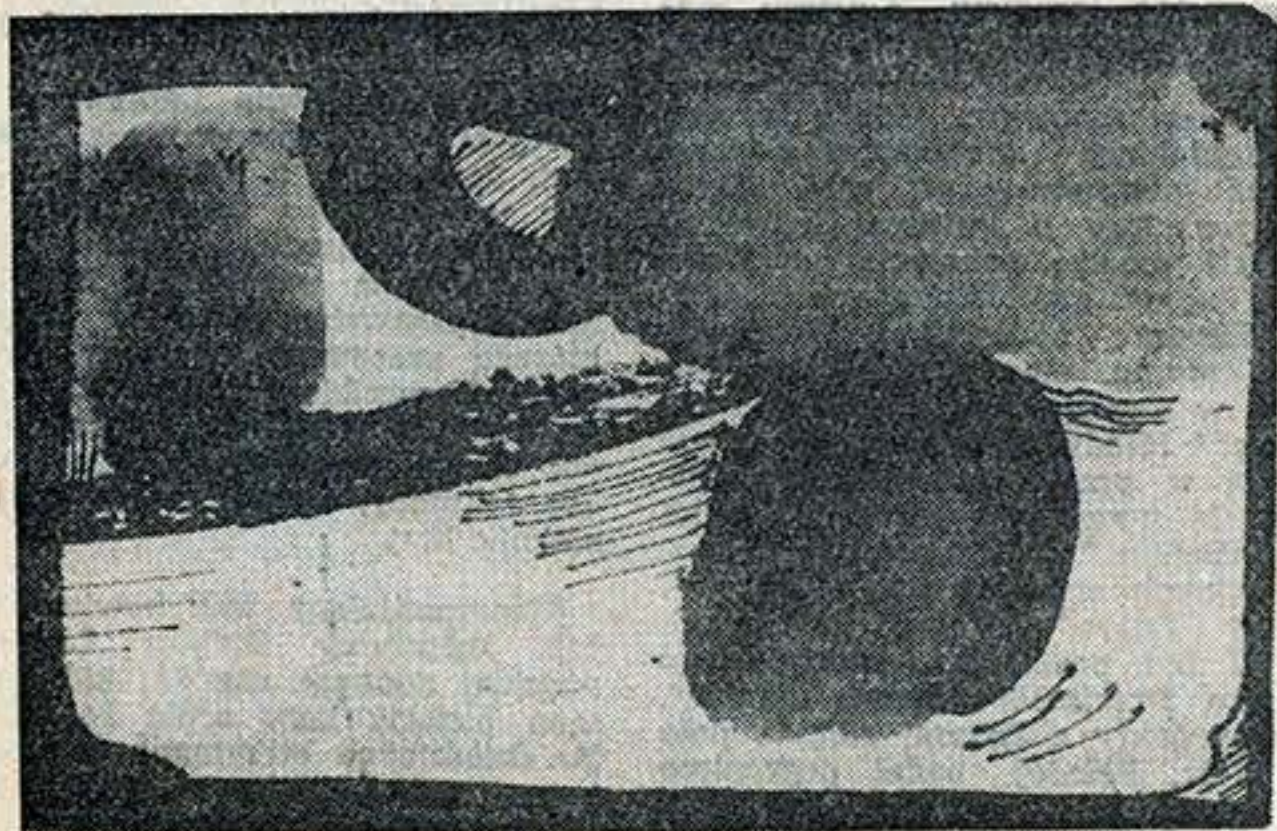
Pytania: czy ktoś czuł w ustach metaliczny smak? Tak, parę osób odczuło coś takiego. Kto czuł fałę ciepła lub chłodu? Są tacy. Kogoś gniołło w żołądku, kłulo w bliźnię pooperacyjnej, kilka osób doznało bólu głowy, mięśni, stawów lub ucisku w sercu i w oczach. Jakis pan wstał i prosi o indywidualny seans dla córki z ciężką chorobą trzustką. „Środek dopingu, na co oni szkodzą?” — wyrwa się mężczyzna ze środka sali. Pani pod oknem upewnia się, czy dobrze robi zamykając w trakcie seansu oczy. Inna pani chce wiedzieć, jak długo potrwa seans, gdyż spieszy się na pociąg. Mistrz mówi, że spotkała go dziś radość, bo kilka osób dziękowało mu za poprawę zdrowia i samopoczucia. Ktoś, jak mówi, pozbył się migreny, ktoś inny bezsenności, komuś zmniejszyła się nerwica.

Łączymy ręce po raz drugi — i znów trwamy w bezruchu, przy spokojnej, kojącej muzyce. Potem pytania i odpowiedzi, nie tylko związane ze zdrowiem, lecz także z muzyką, dobrocią ludzką, sposobami wycieczkami. „Czy nie jest Pan zmęczony?” — pyta przymilnie jedno z dzieci. Mistrz przynajmniej się do lekkiego zmęczenia. Emitowanie „fluidów” z własnego pola magnetycznego jest wyczerpujące i dlatego seans musi być przerywany. Znany uzdrowiciel Nardelli nie oszczędzał się, zmarnował sobie zdrowie do reszty i dziś już nie żyje. Odpoczynek wykorzystuje Mistrz na kontynuowanie prelekcji i rozmowę. Wystrzega się słów „leczenie” i „pacjenci”. Na tej sali nie ma pacjentów, są tylko uczestnicy seansu.

Łączymy ręce po raz trzeci, trwamy w bezruchu przy muzyce — i na hasło Mistrza rozłączamy łańcuch. Mistrz przestrzega przed skutkami picia alkoholu i palenia papierosów, mówi o zbawiającym wpływie przyrody. Prosi nas o pogodę ducha oraz o życzliwość i zrozumienie dla innych ludzi. I to już koniec.

Tymczasem przy drzwiach, za którymi zniknął Mistrz, ustawia się kolejka. Mień obie jego ręce tylko dla siebie i samemu móc wchłaniać te wszystkie dobroczynne fluidy, to pragnienie co najmniej połowy osób tu przychodzących. Ale na seanse dla pojedynczych osób, Mistrz zgadza się tylko w wyjątkowych wypadkach. Rozmawiam z uczestnikami dzisiejszego seansu. Wszyscy zgodnie twierdzą, że czują się bardzo dobrze. Ja też mam się nie najgorzej. Więc... może jednak coś w tym jest?...

HALINA ANSKA



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ



Ilista, wreszcie dyrygent. Kim jest Pan przede wszystkim?

— Wszystkim po trochu. Pracuję w Filharmonii Zielonogórskiej. Uczę w Akademii Muzycznej we Wrocławiu, częściowo też w bydgoskiej PWSM. Mam zajęcia w szkole zielonogórskiej. Prowadzę zespół smyczkowy, w którym grają także Dorota Siuda i Jarek Zolnierczyk. Niedawno założyłem drugi zespół, który nazwałem „wiedeńskim” lub „strusowskim”. Muzyka ta bardzo podoba się publiczności.

— Zajęcia w szkołach, próby, koncerty, realizowanie ambicji własnych i ambicji uczniów. Jak Pan sobie z tym radzi i kiedy wypoczywa?

— Przy dobrze zorganizowanej pracy, starczy czasu na wypoczynek. Chodzę do lasu, który mam blisko domu. Lubię piesze wędrówki. Niezłe plywam i moi skrzypkowie też muszą plywać, obowiązkowo. Gram w szachy i co roku biorę udział w turnieju w Mielnie, nad morzem.

— Gdyby nie był Pan muzykiem, kim chciałby Pan być?

— Kocham przyrodę, uwielbiam las, wybrałbym więc zawód leśnika, ogrodnika, rolnika, coś w tym rodzaju.

— Podobno wśród młodzieży uchodził Pan za nauczyciela bardzo wymagającego.

— Bo tak jestem. Gdyby mój uczeń wie chciał więcej pracować i spełniał wszystkie moje wymagania, mielibyśmy więcej wirtuozów.

— W telewizji przedstawiono niedawno młodego alpinistę, pisał też o nim prasa. Nazywa się Artur Hajzer.

— To mój syn, urodzony w Zielonej Górze, w 1962 roku.

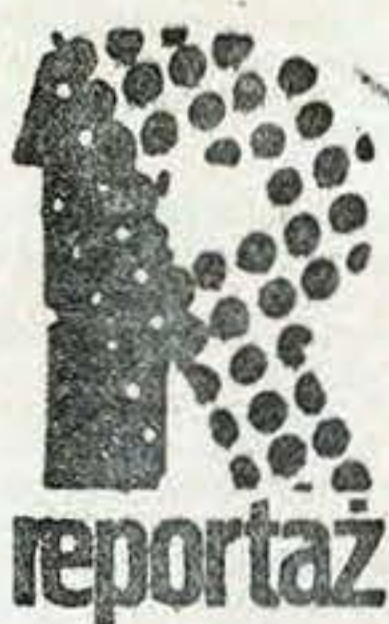
wiecz zadal jej pierwsze pytanie: czy to, co przygotowała, a potem wykonała przed jurorami, odpowiada jej aktualnym umiejętnościom? „Zagrałam jak umiem” — odparła Dorota i dodała: „Choć mogłabym lepiej...”

Co sądzi o werdykcie jury? Zdaniem Doroty, jurorzy kierowali się własnymi kryteriami ocen i skoro wydali taki werdykt, uczynili to z pewnością zgodnie z tymi kryteriami. „Byłoby z mojej strony zarozumiałstwem twierdzić, że ocenili mnie zbyt nisko” — mówi — „ale oczywiście szczęśliwsza byłabym, gdybym otrzymała ocenę wyższą”.

Kogo z finalistów sama ocenia najwyżej? Buszkowa i Romanula. Który z etapów był najtrudniejszy? „Pierwszy” — odpowiada Dorota i zaraz poprawia: „Wszystkie etapy były trudne, każdy na swój sposób, a zdenerwowanie wzmagalo się, im bliżej było finału”. To samo pytanie trochę inaczej: Który etap konkursu był dla niej najtrudniejszy pod względem muzycznym? Tym razem odpowiedź jest jednoznaczna: „Najtrudniejszy był start, gdyż wtedy szła gra o uczestnictwo w konkursie”.

Czy odczuła podczas konkursu opiekę swego profesora? Tak, odczuwała ją przez cały czas. Choć, jak stwierdza zaraz, profesor jednak trochę ją zaniedbał. Dlaczego? Ponieważ zawsze przed wyjściem Doroty na scenę stosował swoja „wroźbę”, własne, małe „zaklęcie”, mianowicie: ścisnął Dorotę za palec. Nie zrobił tego, gdy szła grać Koncert Wieniawskiego — i orkiestra się „posypała”...

Czy odczuła żywcem widowni, telewizorów, radiosłuchaczy? O tak, nawet była zaskoczona sympatycznym zainteresowaniem ze strony ludzi, których



## Przychodził w nocy, groził nożem

Z opinii psychologicznej - psychiatrycznej: „Marek P. ujawnia osobowość socjopatyczną. Stwierdza się u niego egocentryzm, brak kontroli zachowań emocjonalnych, impulsywność. Mało krytyczny wobec siebie, chętnie krytykuje innych, zasady i normy współżycia. Prawidłowo zachowując zdolność ich rozumienia i pokierowania postępowaniem”.

Zainteresowanie wychowawcy internatu Zespołu Szkół Budowlanych w Zielonej Górze wzbudził fakt nagłej rezygnacji z internatu aż czterech uczniów. Uczniowie raczej dobrowolnie nie rezygnują z internatu, a w dodatku ci czterej byli w trakcie pierwszego roku nauki. Prywatne śledztwo przeprowadzone przez wychowawcę odsłoniło część tajemnicy. Resztą zajął się dzielnicy i w konsekwencji prokurator. Czterech uczniów odeszli ze strachu i swoistego... poczucia honoru. Jak się później okazało, bało się jeszcze siedmiu z równym poczuciem honoru. Bali się Marka P.

Marek P. pochodził z dużej wsi spod Zar. W Zielonej Górze uczył się w Zasadniczej Szkole Budowlanej. Do pewnego czasu korzystał z internatu ZSB, ale ramy regulaminu były dla Marka P. zbyt ciasne; stracił prawo do mieszkania w internacie. Ten fakt nie przeszkadzał mu jednak w częstym odwiedzaniu internatu i to w godzinach nie przewidzianych dla gości. Przychodził w nocy

lub późnym wieczorem. Dobijał się do okien i otwierano mu bez szemrania, choć otwierający wiedział, że nie jest to wizyta towarzyska. Scenariusz tych częstych wieczornych wizyt był niemal powielany. Zjawiał się zazwyczaj pod wpływem alkoholu i żądał pieniędzy. Sprzeciwu nie znosił; bił po twarzy, brzuchu, uderzał „z głowy”. Aby wykluczyć myśli o donosie zagroził, że „nasie” Cyganów. Kiedyś uderzył opierającego się chłopca tak mocno, że ten upadł, wówczas P. wyjął pieniądze z jego kieszeni i odszedł. Innym razem, „wzruszył się”, gdy okradany tłumaczył mu, że ma tylko pięćset złotych na cały miesiąc; rozmiął banknot i zwrócił poszkodowanemu trzyście złotych.

Marek P. zapewne nie przypuszczał, ile go będzie kosztowała zmiana metod działania, gdy pierwszy raz wymusił pieniądze przy pomocy noża. W tym momencie, jak mówią prawnicy, zmieniła się prawna kwalifikacja czynu. O tym nie wiedzieli sami terroryzowani. Zarówno jedna, jak i druga strona uważała, że nikt nie zainteresuje się tą sprawą — ot, takie szczeniackie wybrki. Jedenastu chłopców w wieku od 16-18 lat nie myślało nawet o samoobronie. Jedynym żalosnym odruchem protestu było opuszczenie internatu przez czterech najbardziej zrezygnowanych. Dlaczego nie zgłosili tego faktu, skoro nie potrafili sami załatwić sprawy? Jeden z poszkodowanych zeznał, iż uważał donos za coś niehonorowego.

Marek P. nie przyznawał się początkowo do winy, ale wobec oczywistych zeznań dwudziestu świadków, musiał skapitulować.

Za czyn z artykułu 210 paragraf 2 K.K., to znaczy rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia, sąd wymierzył osiemnastoletniemu Markowi P. karę pięciu lat pozbawienia wolności. Biorąc pod uwagę Ustawę o Szczególnej Odpowiedzialności Karnej wymierzono karę minimalną, ale jak na młodocianego przestępcę, jest to kara więcej niż surowa.

Bez dyskusji należy pozostawić fakt winy Marka P. Jeden wychowawca pełniący dyżur w internacie nie jest w stanie pokonać zmywu „solidarnego” milczenia i winić go nie można. Jedyne, co mogą zrobić w tym przypadku nauczyciele, to podyskutować z uczniami o sprawie Marka P. na którejś z lekcji wychowawczych.

ANDRZEJ KOTERSKI

# MISTRZ I DOROTA

— Gratuluję. Syn pnie się w górę i zdobywa szczyty, w pewnym sensie biorąc przykład z ojca. Zamyślił się Pan, o czym?

— O kwartecie smyczkowym, w którym poza mną grają Dorota Siuda, Ewa Łuczak i Narcyz Zolnowski. Mamu pro gram, występujemy. Ostatnio dawaliśmy koncerty muzyki współczesnej, m.in. utworów Zolnowskiego, bardzo miło odbierane przez publiczność Wrocławia i NRD.

— Rozmawiamy w redakcji „Nadodrza”, siedząc w naszej reprezentacyjnej salce, ozdobionej ponad dwudziestoma portretami. To nasi laureaci, nasze, jak mawiamy — „lubuskie głowy”. Jest wśród nich i Pan. (Czytelnikom w tym miejscu przypomnę, że prof. Stanisław Hajzer w 1984 roku został laureatem dorocznego nagrody naszego pisma). Wszyscy ci ludzie na portretach, od naszego pierwszego laureata, archeologa Edwarda Dąbrowskiego, do laureatki z 1986 roku, pisarki Ireny Dowgielewicz, żyją, względnie żyli, bo parę osób z tego grona już odeszło, w sposób twórczy i ciekawy. Jak Pan sądzi, co człowiek powinien robić i jakim warunkom sprostać, aby mieć życie niebanalne, interesujące i pożyteczne?

— Po prostu trzeba mieć pasję.  
— Co Pan w ludziach najbardziej ceni, a co Pana w nich szczególnie razi?  
— Cenię rzetelność, a razi mnie i zasmuca zawiść.

— Jaką radę dałby Pan tym młodym ludziom, którzy chcieliby pójść w ślady Doroty Siudy?

— Niech ćwiczą codziennie i uczą się utworów na pamięć. Systematyczność i uczenie się na pamięć, mogą przynieść rezultaty wprost niebywale.

## GRAC Z BLASKIEM

Ten wieczór w Filharmonii Zielonogórskiej był niezwykły. Bo nie było dotychczas w zwyczaju, aby artysta po występie siadał na scenie, vis a vis widowni, i jak na przysłowiowym cenzurowanym odpowiadał na pytania. A tak właśnie dyrektor Czesław Luniewicz — aranzował spotkanie publiczności z Dorotą Siudą świeżo po jej międzynarodowym sukcesie.

Najpierw młodziutka artystka dała krótki recital, złożony z *Sonaty d-moll* Jana Brahmsa, utworu Karola Szymanowskiego „*Drliady i Pan*”, *Poematu* Ernesta Chonsona oraz zagranej na bis, pobrzmiwającej melodyjną muzyką Charlesa Gounoda „*Fantazji Faustowskiej*” Henryka Wieniawskiego.

Trochę speszona, trochę nieśmiała, ale szczęśliwa i promienna przyjmowała Dorota oklaski, kwiaty i owacje, co trwało dość długo. Następnie honory domu przejął Eugeniusz Banachowicz — konferansjer znakomity, znany skądinąd jako kompozytor, dyrygent i redaktor muzyczny *Rozgłoszeń* PR w Zielonej Górze.

Po przypomnieniu jakże jeszcze krótkiego życia Doroty, która urodziła się i wychowała wśród nas i tu też ukończyła szkołę średnią, red. Banachowicz

przedtem nie znała. Otrzymała 20 telegramów, wśród nich jeden z Łancuta.

Czym zaczął się jej konkursowy dzień? „Biciem serca” — mówi Dorota i wyznaje, że pomimo emocji przeżywała nych w ciągu dnia, bardzo dobrze sygnalizowała.

Jak myśli, czy wyróżnienie uzyskane w międzynarodowym konkursie otworzyło jej drzwi do wielkich sal koncertowych? Dorota zastanawia się przez moment. Na razie nie może powiedzieć nic, poza tym, co jest wiadome: że za parę dni zagra w Budapeszcie oraz że ma propozycje występów w Paryżu i RFN.

Jest studentką ostatniego roku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Bydgoszczy i od niedawna asystentką Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Do tego jeszcze występy, wyjazdy. Czy to nie za wiele? Odpowiedź jest krótka: „Nie!”

Artysta koncertujący powinien mieć przygotowany dość spory i dość elastyczny program. W związku z tym pytanie: czy mogłaby w tej chwili zdecydować się na trzy różne recitale w ciągu jednego tygodnia? Odpowiedź brzmi: „Tak!”

Woli grać wielkie dzieła z towarzyszeniem orkiestry, czy utwory kameralne przy akompaniamencie fortepianu, jak dzisiaj? Lubi grać zarówno jedno utwory jak drugie, jednakowo.

Jaka muzyka jest jej najbliższa? Romantyczna, a po obejrzeniu filmu „*Anna deus*”, muzyka Mozarta.

Niech sobie wyobrazi, że cofnął się czas. Czy wybrałaby ponownie skrzypce i naukę muzyki? Po chwili zastanowienia Dorota odpowiada, że gdyby w dzieciństwie nie zetknęła się ze skrzypcami, być może żyłaby teraz bez tęsknot i poczucia niespełnienia, gdyż nie wiedziałaby, co straciła. Teraz jednak, gdy już wie „jak to smakuje”, nie oddałaby skrzypiec i muzyki za nic na świecie.

Czy zawsze godzi się z koncepcją profesora? Dorota śmieje się: „To nie ja godzę się z koncepcją profesora, ale on z moją!”

Pierwszy koncert, pierwsza publiczność, pierwsze oklaski, czy pamięta? Nie, nie utrzymała sobie tej chwili, ma za to w pamięci dzień, bardzo jak jej się wydaje, odległy, gdy jako kilkuletnia dziewczynka siedziała w autobusie PKS, trzymając na kolanach pudło ze skrzypcami. Jechała wtedy z Zielonej Góry do Wschowy, na swój pierwszy w życiu konkurs. „Byłam taka bestroska...”

Będą konkursy skrzypcowe w Moskwie, Paryżu, może jeszcze gdzieś, czy zamierza wziąć w nich udział? Tak, przymierza się do Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie.

O czym marzy nie jako artystka, ale jako dziewczyna? O paru sprawach dość przyziemnych, o których nie powie.

Jaki ma stosunek do muzyki rozrywkowej? Normalny.

Czy chodzi do kina? Oczywiście! W pamięci widzów zapisała się w białoczarnej fraszce (n.b. zaprojektowanym i uszytym własnoręcznie przez

Pytanie z widowni: Jak rozdzieliłaby nagrody w ostatnim Konkursie im. Wieniawskiego? Dorota kręci przecząco głową. Nie mogłaby rozdzielić nagród, ani też dokonać jakichkolwiek ocen, ponieważ nie słyszała gry wszystkich uczestników.

Teraz pytanie z widowni do Stanisława Hajzera, który na prośbę red. Banachowicza zstąpił z niebieskiego balkonu — i zajął miejsce obok swej uczennicy. Pyta nie brzmia: „Co pan sądzi o werdykcie jurorów?”. Profesor najpierw mówi, że

konkursów światowych — i wygrała go.

Długo niemilkąca brawa były dowodem, że jest to również szczere i serdeczne życzenie zielonogórskiej publiczności. Na zakończenie Dorota wykonała 24 *Kaprys* Nicolò Paganiniego. Utwór ten, podobnie jak poprzednie podczas tego spotkania zagrała „z blaskiem”, tym samym, który podczas jej konkursowych występów dostrzegł recenzent „Przekroju”.

Niezwykłości nastroju dopełniły zawieszona w foyer ogromne fotografie Do-



Kwiaty dla Doroty i akompaniatora Andrzeja Glocha.

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

mame!) W jakich strojach czuje się na scenie najlepiej? W takich, o których wie, że dobrze w nich wygląda. Poza czernią i bielą lubi kolor niebieski i trochę również zielony.

Dlaczego zmieniła akompaniatora? To waczyszący jej zazwyczaj pan Karol Szmit był dziś zajęty. Zgodził się akompaniować jej docent Andrzej Gloch z Wrocławskiej Akademii, za co Dorota jest mu wdzięczna i dziękuje.

Jest tego samego zdania, co np. recenzent „Trybuny Robotniczej”, który uważa, że Dorocie należała się lepsza lokata. Potem wyznaje, że wymarzył sobie dla swej wychowanki nagrodę II lub przynajmniej III. Stało się inaczej, trudno. Teraz pragnie gorąco, aby Dorota wzięła udział w którymś z znaczących

roty Siudy i Stanisława Hajzera, będącej dziełem Czesława Luniewicza. Ułatwowanej Zielonogórzance, o której z pewnością jeszcze nie raz napiszemy, oraz jej Nauczycielowi, życzymy dużo szczęścia i wielu dalszych sukcesów.

HALINA ANSKA



W początkach grudnia w Aszchabadzie noce były chłodne, ale w południe temperatura skakała do 20 stopni i po mieście chodziliśmy bez płaszczy. Tylko poskręcane, zbiorowale liście, które jakby nie chciały odpisać od gałęzi oraz owoce i warzywa o przepysznym smaku i zapachu zalegające sklepy i bazyry przypominały, że to już późna jesień. Zima na pustyni Karakum zaczyna się zwykle pod koniec grudnia. Jest krótka, czasem bardzo ostra, czasem łagodna.

Wiosna wybuchła już w połowie lutego. W marcu zwykle padają deszcze i jest ciepło. Pod koniec kwietnia zaczyna się upały. Trwają pięć miesięcy. Temperatura nierzadko dochodzi do 50 stopni. Płach na pustyni rozgrzewa się do 80 stopni. Wtedy Karakum staje się piekłem. Tygodniami nie spada tutaj kropla deszczu. Wszystko, co jest pozbawione wody, wysycha na popiół.

Aszchabad to miasto — ogród, miasto — park. Wszędzie, gdzie to tylko było możliwe, posadzono drzewa i kwiaty, założono baseny i fontanny. Wiele ścian ocienia winna latorośl. I tylko świadomość czasem podpowiada, że znajdujemy się na skraju ogromnej pustyni Karakum, na przedgórzu Kopet-dag, które oglądane z hotelowych okien pokryte śniegiem prezentują się dostojnie i okazale. Za nimi już Iran.

Aszchabad, w języku turkmeńskim Miasto Miłości, powstało jak dowodzi legenda z miłości syna władcy Anau i córki władcy Nisy. Na przekór swoim wrogom sobie plemionom i swym ojcom, Alla-Jar czyli Przyjaciel Boga i Ludzi, i Ak-Gul czyli Biała Róża postanowili się pobrać. Z twierdzy uciekli na pustynię, gdzie ich przygody godne są kamery filmowej. Przyjaciel Boga i Ludzi nie znalazł zrozumienia ani u ludzi, ani u boga Allacha, który nawet zesłał anioła śmierci, żeby młodych zabić. Anioł, chociaż zwiastun śmierci i kat, ośmielił z wrażeń, kiedy ujrzał z bliska prześliczną Białą Różę. Alla-Jar dokopał się wtedy do wody. Kto zacerpnął jej łyk, zakochał się. Nie ominęło to także anioła śmierci. Wiesz o wodzie, która posiada wielką moc miłości, szybko rozeszła się po okolicach. Zawsze ścigała młodzi, żeby jej się napić. I zostawali przy studni. Studnia już dawno wyschła, a może przez wysłanników Allacha została zasypiana. Z miłości turkmeńskiego Ramea i turkmeńskiej Julii powstało Miasto Miłości, Aszchabad, do 1919 roku Aschabad, później przez osiem lat Poltorack.

Faktycznie Aszchabad jest bardzo młody, zaledwie stuletni. Rozwiniął się z aulu, który przylgnął do twierdzy pilnującej porządku na pustynnych drogach. Taki to gliniasto-kamienny, bez kanalizacji i wodociągów, pokryty pyłem pustynnym Aschabad zapamiętał Włodzimierz Korsak, kiedy trafił tu w czasie pierwszej wojny światowej. Słabo po tamtym Aschabadzie już nie ma. Może tylko parę najstarszych eksponatów w Muzeum Przyrodniczym jeszcze coś niecoś pamięta, eksponatów, które Korsak musiał oglądać, bo przyjaźnił się z dyrektorem tego muzeum, Polakiem, z którego zresztą wtedy mieszkał i z którym w pobliskich Kopet-dag polował.

W rzeczywistości dzisiejszy Aszchabad jest niespełna czterdziestoletni. W nocy 6 października 1948 roku w ciągu kilku sekund miasto przestało istnieć. Nawiedziło go trzęsienie ziemi o wielkiej sile 9 stopni w skali Richtera. Ci, którzy wtedy przeżyli tę noc w Aszchabadzie, nigdy jej nie zapomną. — Tego się nie da opowiedzieć, wspominają starsi mieszkańcy. Miasto wyglądało gorzej niż po nalocie bombowym, wów czas przynajmniej niektóre ściany stały. Tu wszystko leżało. Ocalały tylko dwa domy i stojący w centrum pomnik Lenina. Jego piedestał to wspaniała budowla obłożona majoliką, różnobarwną glazurą, od wieków wykorzystywaną tu do dekoracji ścian. Na dużym sześciennym, wewnątrz którego mieści się muzeum, stoją pięć mniejszych prostokątnych figur geometrycznych. Na ustawionej najwyżej, jakby na trzeciej kondygnacji, odlana w brązie postać Lenina. Stojąc w pewnej odległości od pomnika ma się wrażenie, że ściany tego ogromnego cokołu pokryte są dywanami.

Po tej gigantycznej klęsce, Aszchabad wspomagany przez wszystkie radzieckie republiki, szybko podźwignął się do życia. Już w dwa lata po trzęsieniu ziemi w mieście powstał uniwersytet, w trzy — Akademia Nauk. Odbudowano teatry, kina, domy kultury, szkoły, uczelnie, muzea. Powstały nowe instytucje, niektóre o rzadkiej specjalizacji, na przykład Instytut Budownictwa Antysejsmicznego, gdzie opracowuje się konstrukcje budynków, po storko odpukać, bez uszczerbku wytrzymujące największe trzęsienia ziemi. Ozdobą Aszchabadu jest niezwykle oryginalny w swoim kształcie i wystroju, majestatyczny gmach Biblioteki Państwowej, który przechowuje także bezcenne rękopisy.

Z Moskwy do Aszchabadu leci się cztery godziny. Była ósma wieczór, czyli czwarta u nas, kiedy tutaj przyleciał samolot. W restauracji hotelu Aszchabad do tańca przygrywała orkiestra. W holu można się było napić najsmaczniejszego w świecie kawy, bo parzonej po ormiańsku. Najpopularniejszym napojem w Turkmenii jest jednak zielona herbata. Turkmeni słowa nie wypowiadają, za nim nie wleją do stojącej przed nimi czariki — czaszy zielonkawego wrzasku.

który ułatwia trawienie, rozpuszcza tłuszcze i dodaje siły.

Zaraz też gospodarze, pisarze turkmeńscy, przedstawili nam program pobytu na każdą niemal godzinę dnia.

- Proponujemy wyjazd do Mary.
- Daleko stąd?
- Nie, blisko. Będzie z sześćset kilometrów.

## II

Turkmeni pięknie i często opowiadają o wodzie. Woda to krew pustyni, a osiemdziesiąt procent powierzchni Turkmenii zajmują piaszki Kara-kum o różnych odcieniach brązu, chociaż w języku turkmeńskim kara-kum znaczy czarny piaszek. Bez wody, jak bez krwi, nie ma życia. Woda mądrze użyta to lekarstwo, a źle to jad. Odpędzić człowieka od wody, znaczyło skazać go na śmierć. Woda

sypywano je, żeby nie dostały się w ręce wroga, porzucano je, a nazwy pozostawały. Niektóre żyją do dziś. Język, okazuje się, także na pustyni jest niezwykle twardym, odpornym na wszystkie materiały. Nawet słońce nie jest go w stanie wypalić.

Czterysta lat temu Turkmeni nawiedziła przepiętna katastrofa. Zaczął wysychać Uzboj, rzeka — żywicielka, której wody za pomocą misternych kanałów i kanałików ożywiały pustynię. Ludzie musieli opuścić nadrzeczne miasta i auly, które począł zasypywać piach. Po wyschnięciu rzeki nad wszystkim zapanał żywioł piaszku, groźniejszy od ognia, bo nie do ugastenia. Pozostała daleka i zarazem bliska Amu-daria.

Decyzję o budowie Głównego Kanału Turkmeńskiego Amu-daria — Kras

siębiorstwo zatrudniło 25 tysięcy ludzi różnych narodowości, którzy pracowali na ogromnej przestrzeni, bo Kanał nie tylko się buduje, Kanał wymaga codziennej pielęgnacji.

Przekonał się o tym po paru dniach w Mary, gdzie gościnni gospodarze zafundowali nam kilkumasztowy kilometrów przejażdżkę stateczkiem po Kanał w słońcu i pustynnym wietrze. Kanał stale się pogłębia, nieustannie umacnia się jego brzegi, piaszczyste, nierzadko kamieniste. Poszerza się go, co już jest znacznie łatwiejsze i tańsze niż kopanie na przestrzał gigantycznego rowu. Rowu, który dochodzi do 250 metrów szerokości, ale bywa, zapewniano nas, że można go przeskoczyć. Chińska ryba, jak ją tutaj nazywają, czyli roślinożerny biały amur pomaga człowiekowi czyścić dno Kanału, które zarasta bujną roślinnością. Z Amu-darii

nym, obszarze zaczynają się skamieniałe, szaro-kremowe ruiny o różnych kształtach, jakby pustynne zwłody. To cmentarzysko Merwu, o którego dziejach napisano w różnych językach całą bibliotekę. Już w VI wieku przed naszą erą w Merwie miało mieszkać 55 tysięcy ludzi. Do niewyobrażalnego bogactwa doszedł Merw w pierwszych wiekach naszego tysiąclecia. Nie tylko bogaci się na podbojach. Stąd w świat wysyłano bawełnę, zboże, wyroby rękodzielnicze. Wszystko co wówczas zbierano i wytwarzano na Wschodzie i Zachodzie można było kupić na bazarach Merwu. Ściągałi tutaj kupcy z Rusi, Chin, Indii, Iranu. Do miasta przyjeżdżali poeci, lekarze, astronomowie, architekci, rękodzielnicy. Podróżnicy podziwiali tutaj meczety i medresy, kaplice od drożocności pałace, wspaniałe budowle, szkoły, laznie publiczne, biblioteki. Wody Murgabu rozprzeczadzały nie po okolicach dzięki misternemu systemowi irygacyjnemu zapewniały nie tylko obfitość pożywienia.

Sandzar, syn sultana Melik-szacha, po śmierci swych braci został w 1118 roku sultanem i Merw ogłosił stolicą państwa, które rozciągało się od Amudarii do Morza Śródziemnego. Z wypraw przywoził wielkie łupy, które przeznaczał na dalszy rozwój ukochanego przez siebie miasta. Sandzar to postać przebarwna. Okrutnik i łaskawca, wspinał wojownik, chytry dyplomata, mecenas kultury, miłośnik książek i pięknych kobiet, człek światły. Posiadał bogatą bibliotekę, której zawartości pilnie strzegł. Tylko jednej najbardziej zaufanej osobie wolno było sięgać po manuskrypty w obecności sultana i głosić je czytać. Nie pogardził okrucieństwami. Za białe przewinienia karał gardłem. Skazał na śmierć strażnika swego pałacu za to tylko, że ten ośmielił się nadłuchiwać, kiedy śpiewała najmłodsza żona sultana. Pozostało po nim wiele opowieści i mauzoleum.

Jedną z jego ukochanych kobiet postawił mu trzy warunki: pierwszy, żeby nigdy nie obaj jej w talli; drugi, żeby nigdy, kiedy ona idzie, nie patrzył na jej stopy; i trzeci, żeby nie patrzył na nią, kiedy ona czesze włosy. Sultaniem młotała ciekawość i pewnego razu obaj kobietę w talli. Była bez kości. Piękna kobieta chciała odejść, ten uprosił ją i została. Ale ciekawości się nie wyżył. I spojrzął na jej stopy, kiedy szła. Nie dotykała podłogi, unosiła się w powietrzu. Piękność odeszła od sultana. Ten, zakochany, wezwał na pomoc doradców, duchownych, astrologów, i po perswazjach i namyśle powrócił. Ale ciekawość sultana znów wzięła nad wszystkim górę. Podpatrzył ukochaną, kiedy się czesała. Zdjęła z szyi głowę, położyła ją na skrzyni i rozczesywała włosy. A kiedy sultan przyznał się, że złaźnił i to trzęcie przyrzeczenie, piękna kobieta odeszła od niego na zawsze.

Mauzoleum, które Sandzar kazał zbudować, wysokie na kilka pięter, jest widoczne, jak zapewniła przewodniczka, z odległości jednego dnia jazdy koniem. Przyjechaliśmy samochodem i nie mogliśmy tego sprawdzić. Kolor cełgi blasku kolorowi piaszku czyli ziemi, błękit kopuły bliższy kolorowi nieba. Doczesne szczątki sultana miały być jakby zawieszane pomiędzy niebem a ziemią. Przepych tej budowli zamknięty jest w jej wielkości, bo zewnętrzna kolorystyka stapia się z tłem.

Budowniczy mauzoleum miał być, wschodnim zwyczajem, na wieki nieznan. Niedawno spod tynku, który od padł, wyjarzało na światło dzienne jego nazwisko. Nazywał się Muchammed ibn-Atsyzom. I był wybitnym turkmeńskim architektem. W ten sposób ocalił się od niepamięci. Po osiemset latach znów do pamięci powrócił, jakby w historii zmartwychwstał. I tak wyrównały się pozgonne dzieje budowniczego tej budowli, która jeszcze w XIV wieku uchodziła za najwyższą na świecie, i tego, który kazał ją wznieść. Obaj ocalili swoje imiona.

Dwunastowieczny historyk Ibn-al-Asiri pisał, że w mauzoleum spoczęło ciało Sandzara. Inne źródła podają, że Sandzar pod koniec swego życia podczas kolejnej wyprawy dostał się do niewoli i nie wykupiony zmarł tam, a zwłok nie odnaleziono. Do tej wersji skłania się przewodniczka. Mauzoleum przez wieki stało puste. Dopiero w 1911 r. w sarkofagu, który ledwie wywyższa się nad posadzkę, złożono zwłoki jakiegoś pułkownika, Turkmena, który zasłużył się dla rosyjskiego cara. Jeszcze jedna przewrotność historii.

Merw w 1221 roku nie wytrzymał na jądze wojsk syna Czangis-chana-Tuli. Pozbawiony wody, gdyż Mongołowie od pewnej kobiety dowiedzieli się, gdzie znajdują się urządzenia nawadniające, i zniszczyli je, poddał się, żeby ocalać. Mongołowie nie uszanowali aktu kapitulacji i jak podają niektórzy kronikarze, wycieli w pień milion trzysta tysięcy mieszkańców Merwu. Przez kilka dni miały płonąć książki na stosach. Miasto już się nigdy z tej klęski nie podniosło, chociaż niektórzy jego późniejsi władcy, jak chociażby syn Timura Szachruch, bezskutecznie usiłowali przywrócić mu dawny blask. Czas dokończył resztę.

Kiedy w niedzielę 7 grudnia 1936 r. słuchaliśmy o Merwie przeróżnych opowieści, świeciło jaskrawo słońce i dał chłodny wiatr zapowiadający zimę. Po paru godzinach zziębnięci i głodni zawróciliśmy do Bajram Ali, do restauracji, prawie pustej, bo już po sezonie i turystów niewiele. Przy obiedzie, chyba z dwudziestu potraw, zupełnie zapomnieliśmy o starożytnym Merwie, rzekę, która tu się przed wiekami dokonała, sultanie Sandzarze i o jego wszystkich, pięknych kobietach.

## NOTATKI Z PUSTYNI KARA-KUM

Janusz Koniusz



D. Dżumadurdy „MOJA REPUBLIKA” (1977)

zawsze tu była cenniejsza niż złoto, które nie daje życia. Kropla wody, mawiają, to więcej niż grudka złota. W Turkmenii za dużo słońca i piaszku, za mało wody. Na rozległych, bezkresnych przestrzeniach Kara-kum, rozleglejszych niż Polska, od epoki kamiennej, kiedy pojawił się tutaj człowiek, toczono wojny o wodę, o każdą studnię, o każdy dół, w którym nawet na krótko gromadziła się deszczówka. Każda ścieżka na pustyni prowadziła zawsze do studni. Studnie wyznaczały kierunek marszu karawan. Wędrowano od studni do studni jak od stacji do stacji. Przy studniach krzyżowały się pustynne drogi. Studnie wykute w wapieniu trwały wieki, nawet wówczas kiedy człowiek nie przyłożył do nich ręki. Znawcy Kara-kum twierdzą, że w wapiennych skalach dochowały się studnie z których pili wodę wojowie i konie Czyngis-chana. Na tych przepastnych, pustynnych obszarach do niedawna wiele ludów wiodło żywot koczowniczy. Z miejsca na miejsce przeganiano stada, przenoszono jurty, dziś już tylko spotykane na obrazach i bardzo starych fotografiach. Wszystko się zmieniło, bo i pejaż pustyni, i pory roku. Tylko studnie nie zmieniły pozostawały na swoich miejscach. To były jedyne stałe punkty na pustyni. Od ich nazw brały nazwy okoliczne miejsca. Studnie wysychały, za-

nowodsk, bo tak się pierwotnie nazywał Kanał Karakumski, podjęto po wieloletnich badaniach w 1950 roku. Do pracy przystąpiono w dwa lata później. Szef przedsiębiorstwa, które buduje Kanał, a przy okazji domy i drogi, najpierw poczęstował nas zieloną herbata i cukierkami, a później zaznajomił z znaczeniem tej inwestycji nie tylko dla Turkmenii. Tu, przed zbudowaniem Kanału, zbierano rocznie 200 000 ton bawełny, tego białego złota, dziś zbiera się milion dziesięć. I to najprędzej jakoś. Dzięki Kanałowi, a ściślej wodzie w nim płynącej, powstały nowe gałęzie przemysłu, nowe auly i nowe sochozy. Rozwinięto ogrodnictwo, warzywnictwo, winiarstwo. W strefie Kanału znalazło się już dziesiąt milion hektarów. Później z Aszchabadu do Mary przejeżdżaliśmy kilkanaście kilometrów nad Kanał. Jak na znakomitej fotografii widać było setki kanałików, którymi, tłoczył się życiodajna woda na zniechęconą z tej wysokości, w swej grocie i potęgę pustyni, która jednak uległa człowiekowi.

Budowa Kanału ciągle trwa. Zmieniają pierwotne plany. Dziś Kanał ma 1100 kilometrów. I już jest największym kanałem na świecie. Po zakończeniu budowy jego długość wyniesie prawie półtora tysiąca kilometrów. Woda z Amu-darii użyjnie okolicę Kizyl-Atreku, gdzie średnia roczna temperatura jest bardzo wysoka. Będą tam wtedy dojrzawać pomarańcze. Przed-

do Kanału w ciągu sekundy przelewa się do 130 metrów kubicznych wody.

Przedsiębiorstwo budowy Kanału dysponuje własną siecią łączności, własnymi kolejami i samolotami. Jest to, mówię, trochę „gosudarstwo w gosudarstwie”. Kanał przynosi Turkmenii tysiące dobrych rzeczy i ściągają jedną złą. Ta jedyna zła rzecz to mgła. I kiedy z szefem tego państwa w państwie pojechalismy na peryferie Aszchabadu, żeby zobaczyć Kanał, za którym ciągnie się już pustynia, nad wodą unosiły się rzadkie, siwawe obłoczki mgły i latały mewy. Kanał to przedsięwzięcie gigantyczne. Jedno na epokę. Trzech jego budowniczych otrzymało tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej. Trzynastu zostało laureatami Nagrody Leninowskiej, kilkudziesięciu nagród republikańskich.

Budowa Kanału to temat wielu powieści, filmów, wierszy, obrazów i rozpraw naukowych. Stale obecny w dzisiejszej kulturze turkmeńskiej. Jak w genetycznej pamięci Turkmenów ciągle płynie Uzboj. Na wielką wodę czekano tutaj przez wieki. W Mary doznaliśmy się jej dokładnie 24 lutego 1959 roku. Kto żył wtedy nad Kanał, Woda, woda idzie, wołano. I woda przyszła jak pogoda, jak życie.

W trzy lata później doszła też do Aszchabadu.

III  
Z Mary pojechalismy do Bajram Ali, w osię rzeki Murgab. Parę kilometrów dalej, na brązowym, lekko sfalowa-



Wizyta Korynny u Owidiusza. Interesujące może być porównanie wizyty in-dyjskiej miłośnicy u kochanego z wizytą Korynny u Owidiusza (AMORES — MIŁOŚCI).

W upale południa leżałem na łóżku, odpoczy-wając przy pół otwartym oknie, w półmroku, jak panna, kiedy już ustąpiła noc, a jeszcze nie nastał dzień. Lubię go najbardziej nieśmiało dzweczeć, bo wówczas najlepiej mogą ukryć swą wstydliwość.

Weszła Korynna w podkaszanej tunice, kryjąc śnieżną pierś pod rozpuszczonymi włosami, po-dobna do czarującej Lais, kiedy przyjmowała swoich kochanków.

Najpierw zdarłem z niej prześwitującą tuni-kę, która ani niewiele przeszkadzała, ani nie-wiele zasłaniała. Korynna zdawała się stawiać słaby opór, choć było widać, że chce, by ją po-konano.

Kiedy stanęła przede mną bez osłon, nie do-strzegłem na jej ciele najmniejszej skazy. Co za płeć, jakie ramiona, które mogłem oglądać. Jak-że kształtne piersi, godne najczulszych pieczęci. Jaki wspaniały brzuch pod jedynym biustem, co za wspaniała kibić, jakie młodzieńcze uda.

Po co zresztą wdawać się w szczegóły? Nigdy nie widziałem czegoś równie wspaniałego. I nie było żadnej zasłony między jej pięknym ciałem, a moim.

Reszty łatwo się domyślić. W końcu zmęczeni miłosną fatygą, spoczęliśmy oboje. Oby spotkało mnie więcej takich niecodziennych dni.

Noc Cyntii ofiarowana Proper-cjuszowi. O tym, czego Owidiusz każe się domyślać, mówi Propercjusz (ELEGIE):

Noc szczęśliwa i szczęśliwe toż moich roz-kosz! Ileż słów zamieniliśmy przy świetle lam-py, a ile było swawoli po zgaszeniu światła.

Albo zmagala się ze mną, mając obnażone piersi, albo też stwarzała przeszkody, zastanawiając się tuniką.

Na próżno sen kleił mi powieki, otworzyły się znowu pod dotykiem jej warg.

Jak możesz — powiedziała — spać obojętnie? W tysięczne spłoty łączmy nasze ramiona, niech usta cieszą się długimi pocałunkami!

Ciemność nie sprzyja rozkoszy: mówi się, że oczy są przewodnikami miłości. Parys zaplo-nął uczuciem na widok pięknej Heleny, kiedy naga wyszła z łoża Menelausa. Edymion swą na-gością oczarował niewinną Dianę i bogini póź-niej spała naga u jego boku.

Leżąc u łóżku, nie zasłaniaj swych wdzie-ków przede mną, bo własnymi rękami porwę na tobie nienawistną szatę. A jeżeli gniew bar-dziej mnie poniesie, twoja matka ujrzy jego ślady na twych ramionach.

Pozwól mi całować twoje sterczące piersi. Póki los na to zezwala, niech nasze oczy syca się miłością. Żywy, czy martwy, zawsze będę na-leżał do ciebie.

Jeżeli zgodzisz się na podobne noce, jeden rok będzie dla mnie dłuższy od całego życia. Nie skąp mi ich, a stanę się nieśmiertelny w twoich ramionach. Co mówię, jedna noc z tobą może uczynić bogiem mnie, najmniejszego z lu-dzi.

Sztuka uwodzenia według Owi-diusza. ARS AMATORIA:

Przednie wszystkim powinienes nadbrać prze-konania, że każda kobieta jest do zdobycia, wystarczy tylko zastawić sidła.

Przedzie na wiosnę zamknij ptaki, a latem koniki polne, a pies myśliwski ucieknie przed zającem, niż kobieta oprze się czułym załotom młodego mężczyzny.

Nawet ta, która wydaje się nieczuła, pożąda tego. Zarówno mężczyźni jak i kobiety zaka-zana miłość sprawia przyjemność, mężczyzna jednak słabo maskuje swoje uczucia, kobieta zaś pożąda w skrytości.

Gdyby mężczyźni się zmówili, by nie zabiegać o względy kobiet, te przerażone natychmiast rzuciłyby się im w objęcia.

Czy nie słyszełście, jak na bujnej łące ja-łowka ryczy z miłości do byka, a klacz rzy na widok ognistego ogiera?

Namiętność kobiet jest silniejsza od naszej i odnacza się większą gwałtownością. A więc nie powinienes wątpić, że możesz odnieść triumf nad wszystkimi młodymi pięknościami. Wśród awiela znajdzie się zaledwie jedna, która ci się oprze. Zarówno te, które oddają się łatwo, jak i te, które bronią, jednakowo lubią, by je przono.

A jeżeli ci się nie powiedzie, to spotka cię tylko odmowa. Ale dlaczego miałoby być to nie-powodzenie, skoro nowy przedmiot pożądania jest miłszy. Cudze zawsze lepiej smakuje od własnego. Zawsze zboże na obcym polu wydaje się dorodniejsze, a krowy sąsiada zawsze mają pełniejsze wymiona.

Kobiety, które nie kryją swej cielesnej żądzy. W Indiach zawsze prze-strzegano w stosunkach między obojgiem płci nakazów przyzwoitości i nikomu nie przycho-dziło na myśl temu uchybić.

Kiedy np. wędrowała gromada, mężczyźni szli przodem i zatrzymywali się tylko przed przejściem brodu, by podać do tyłu ręce kobietom. Te podkaszwały się wówczas powyżej blo-der, ale żaden mężczyzna nigdy by się nie od-wrócił, by je podglądać.

Wszelka publiczna prowokacja wobec płci od-miennej, a nawet wszelka kokieteria są niez-nane. Kobieta czułaby się obrażona, gdyby mę-zczyzna okazał jej na ulicy jakies szczególne względy.

Zobaczmy dalej, że mężczyzna, który pra-gnie zalecać się do kobiety, nie czyni tego wprost, ucieka się do aluzji, używa dwuznaczników, które mogłyby się odnosić również do innej oso-by.

## POCAŁUNKI.

Radzi się, by przy pierwszych spotkaniach nie przesadzać z pocałunkami, uściskami i innymi dodatkowymi zabiegami, które są uzupełnieniem zespolecia cielesnego. Można natomiast nie ską-pić ich przy późniejszych spotkaniach.

Całuje się czoło, oczy, policzki, szyję, piersi, łono, wargi i wnętrza ust. Mieszkańcy Wschodu całują także kobiety w złaczenie ud, w ra-miona i pępek.

Z młoda dziewczyna stosuje się trzy rodzaje pocałunków: symboliczny, ruchomy i dotykają-cy.

Symboliczny jest zwykłym pocałunkiem w usta, przez zetknięcie się warg obojga kochan-ków.

W pocałunku ruchowym dziewczyna chwytła wargami dolną wargę kochanka i wciąga ją do ust, wykonując ruch ssania.

W pocałunku dotykającym dotyka językiem wargi kochanka, zamykając oczy i trzymając swe dłonie w jego dłoniach.

Autorzy rozróżniają jeszcze cztery inne rodza-je pocałunków: prosty, pochylony, odwracany i wyciągnięty.

Podczas pocałunku prostego usta dwojga sty-kają się wprost — wargi kochanka na wargach kochanki.

Podczas pocałunku pochylonego kochankowie mają pochylone głowy, wyciągają ku sobie usta do pocałunku.

Podczas pocałunku odwracanego jedno z ko-chanków odwraca ręką ku sobie głowę partne-ra, a drugą ręką ujmując jego podbródek.

Pocałunek nazywa się wyciągniętym, kiedy jed-no z kochanków wyciska pocałunek ustami na dolnej wardze drugiego. Jest on mocno wyciąśnię-ty, kiedy ujęty wargę dwoma palcami, doty-ka się jej językiem i wyciska mocny pocałunek.

Kochankowie czynią zakład, kto pierwszy uch-wyci ustami dolną wargę partnera. Jeżeli ko-bieta przegra, powinna krzyknąć, odpychać ko-chanka uderzeniem rąk, spierać się i żądać no-wego zakładu. Skoro przegra ponownie, powinna

# Reguły gry

P. E. Lamairesse



Rys. L. H.

jeszcze bardziej się dąsać i wykorzystać mo-ment, kiedy kochanek nie uważa, lub nawet śpi, aby chwycić zębami jego dolną wargę i ścisnąć ją tak mocno, żeby nie mógł się uwolnić. Gdy to się uda, zaczyna się śmiać, robi wiele hałasu, drwi z niego, tańczy i podśmakuje przed nim i mówi w żartach wszystko to, co jej przyjdzie na myśl, przy czym marszczy brwi i prze-wraca kokieterijnie oczami.

Takie są zabawy i zakłady kochanków w czasie pocałunków. Kochankowie bardziej namiętni postępują podobnie przy innych pie-szczotach, o których za chwilę.

Kiedy mężczyzna całuje dolną wargę kobiety, podczas kiedy ta na odwrót całuje jego dolną wargę, jest to pocałunek górnej wargi.

Kiedy jedno z kochanków chwytła wargami drugiego kochanka, jest to pocałunek spinają-cy.

Kiedy w czasie pocałunków dotyka się języ-kiem zębów, lub podniebienia, jest to walka języków.

Pocałunek powinien być umiarkowany, wy-ciąśnięty, wpijający się, lub łagodny w zależności od części ciała, na której jest składany.

Można również zaliczyć do pocałunków ssanie brodawki, lub sutka piersi o czym w pieśniach bajader z południa Indii wspomina się jako o jednym z zabiegów poprzedzających zespolecie cielesne.

Kiedy kobieta całuje twarz śpiącego kochan-ka, jest to pocałunek roznamiętniający.

Kiedy kobieta całuje kochanka, który jest rozstrągnięty, lub zajęty, albo też ją łaje, jest to pocałunek odwracający uwagę. Kiedy spó-żniony kochanek zastanie ukochaną w łóżku i całuje ją podczas snu, by zmanifestować swe pragnienie, jest to pocałunek budzący. W po-dobnym wypadku, kiedy przybywa kochanek, kobieta może udawać śpiącą, by go sprowoko-wać do tego pocałunku.

Kiedy całuje się obraz osoby, odbity w lusz-trze, lub w wodzie, albo też jej cień na ścianie, jest to pocałunek wyznający miłość.

Kiedy całuje się dziecko trzymane na kola-nach, albo obraz, albo też posąg w obecności osoby kochanej, jest to pocałunek przeniesiony.

Kiedy nocą w teatrze lub na zgromadzeniu osób z kasty mężczyzna zbliża się do kobiety i całuje jej palec u ręki, jeżeli ona stoi, lub palec u nogi, jeżeli siedzi, albo kiedy kobieta, masując ciało kochanka, kładzie twarz na jego udzie, jak gdyby chciała z niego uczynić poduszkę do spania, w taki sposób, by obudzić jego pożądania i całuje go w udo, lub w duży palec u nogi, to jest to pocałunek prowokujący.

Na temat tych pocałunków przytacza się na-stępujące wersety:

„Cokolwiek czyni jedno z kochanków, drugie powinno odwzajemnić: pocałunek za pocałunek, pieśczętę za pieśczętę, uderzenie za uderzenie”.

Rozmiary organów. Wielu rektorom znane były następujące dystychy. Owidiusz:

Noscitur e pedibus quantum sit virginis ant-um.

Noscitur e naso quantum sit hasta viro.

W tłumaczeniu dosłownym: Po stopach moż-na poznać jaką jest grotą dziewczę, po nosie jaka dzida u mężczyzny.

W przekładzie francuskim: U kobiety mała sto-

pa — mały klejnot, u mężczyzny duży nos — du-ży członek.

Marcialis: Mentula tam magna est, tantus tibi, Papile masus.

Ut possis, quoties arrigis, olfacere.

Twój nos, Papilusie, jest długi, a kutas tak duży, że możesz go powąchać, kiedy ci stanie.

Lidia jest tak rozłożysta jak zad konia z brązu, jak stary pantofel porzucony w błocie, jak mate-rac pozbawiony włosów. Powiadają, że miałem sprawę cielesną z Lidą w basenie morskim; ra-czej chyba z basenem miałem sprawę.

Nasilenie namiętności. Marcialis, NA CHLOE I FLOGIS: Pytacie, która: Chloe czy Flo-gis jest lepsza w miłości. Chloe jest piękniejsza, ale Flogis to wulkan, który by odmłodził Nesto-ra. Chloe przeciwieństwo nie nie czuje, nie nie mówi.

skończyli trzydzieści pięć lat. Kto się spieszy, niech pije młode wino, mnie niech naleją wina z naczynia napelnionego za dawnych konsulów. Jeżeli chcecie skosztować dojrzalego owocu mi-łości, skoro tylko, poczekacie, otrzymacie zasłu-żoną nagrodę.

Kobiety bardzo dojrzałe posiadają większą wiedzę w tej dziedzinie, a doświadczenie czyni z nich prawdziwe artystki, które znają dobrze wszystkie sekrety miłości. Niszczące działanie czasu potrafią złagodzić elegancją i odmładza-niem się za pomocą różnych zabiegów. Stosując tysiące wyuczonych pozycji, urozmaicając i podu-ają rozkosz miłosną. I żaden namalowany obraz nie nauczy sposobów, które tylko im są znane. Same syca się rozkoszą, której nie trzeba sztucz-nie rozbudzać; toteż zarówno kobieta jak i mę-zczyzna doznają jednakowej przyjemności.

Nie cierpię stosunków miłosnych, które nie za-dowalają obu stron. Dlatego nie przepadam za miłością chłopięcą. Nie znoszę takiej dziewczyny, która oddaje się tylko dlatego, że musi, a tymczasem sama myśli o tym, żeby nie zabru-dzić prześcieradła. Niemila jest mi rozkosz świad-czona z obowiązku: niech żadna dziewczyna nie robi mi łaski.

Podczas związku wyższego kobieta powinna tak się rozprostować, by rozchylić joni. (Kobięce narządy płciowe).

Podczas związku równego kładzie się na ple-cach, w pozycji naturalnej i pozwala się objąć za szyję.

Podczas związku niższego przyjmuje taką pozę, by ściśnięć joni; dobrze jest również, kiedy za-żyje środków przyspieszających moment, w któ-rym zostanie zaspokojone jej pożądanie.

Kobięce (...) leżące, zaleca się trzy pozycje: Pozycja w pełni otwarta. — Ona trzyma głowę bardzo nisko, w ten sposób, by środek ciała zna-lał się wyżej. Mężczyzna powinien wówczas poś linię linge (członek męski) lub joni albo też użyć maści natłuszczonej, by ułatwić wprowadzenie.

Pozycja rozchylna („ziewająca”). — Kobieta podnosi uda i rozchyli je.

Pozycja żony Indry. — Ona krzyżuje stopy na własnych udach, co wymaga pewnej wprawy. Po-zycja ta jest bardzo dogodna przy związku naj-wyższym (...)

Dla związków niższych i najniższych pozycje są następujące:

Pozycja spinająca. — Mężczyzna i kobieta le-żąc mają nogi wyprostowane i ułożone bezpośre-dnio na sobie.

Pozycja ta może być horyzontalna, boczna; w tym ostatnim przypadku mężczyzna powinien spo-czywać na lewym boku. Też zasady należy się trzymać zawsze kiedy się leży i niezależnie od tego, jakie są rozmiary joni kobiety.

Pozycja gniotąca. — Zespolecie zaczyna się w pozycji spinającej, a potem kobieta ścisła ko-chanka udami.

Pozycja przepięta. — Kobieta krzyżuje jedno swoje udo z udem mężczyzny.

Pozycja zwana pozycją klaczy. — Kobieta ścisła jak w imadła linge uwięzioną w joni. Można się tego nauczyć jedynie przez praktykę, a stosują to głównie kobiety z kraju Andhrų.

A oto pozycje, które wylicza Suwarnanabha: Pozycja wznosząca się. — Kobieta podnosi no-gi całkiem prostopadle.

Pozycja rozchylna („ziewająca”). — Kobieta opiera obie nogi na ramionach mężczyzny.

Pozycja ściśnięta. — Mężczyzna przyciska do siebie nogi kobiety skrzyżowane i podniesione; jeżeli uniesiona jest tylko jedna noga, jest to po-zycja półściśnięta („rozluźnianie bambusa”). Kobieta opiera tę nogę na ramieniu mężczyzny, drugą wyciąga obok. Następnie przyjmuje podob-ną pozycję z odwrotnej strony i postępuje tak na przemian.

Wbijanie gwoźdźcia. — Jedna noga na głowie mężczyzny, druga wyciągnięta obok.

Pozycja kraba. — Nogi kobiety są podciągnię-te w górę i ułożone na jej żołądku.

Paczka. — Kobieta unosi i krzyżuje uda.

Kształt lotosu. — W tej pozycji kobieta krzyżu je nogi — jedną na drugiej — uda rozsunięte. Pozycja jest identyczna z tą, którą wymieniono wyżej pod nazwą „pozycji żony Indry”.

Pozycja obrotowa. — Mężczyzna w czasie ze-spolecia obraca się wokół kobiety, nie odrywając się od niej i nie przerywając aktu, podczas kle-dy kobiety ścisła jego ciało; można nauczyć się tego przez ćwiczenie.

Nie tylko jest dogodne, ale i wskazane, mówi Suwarnanabha, by łączyć się na wszelkie możli-we sposoby podczas kąpieli; ale Watsajana po-tę pia związek w wodzie, jako przeciwny zasadom religii.

Kiedy kobieta opiera się na rękach i nogach jak czworonóg i kiedy kochanek pokrywa ją jak byk, nazywa się to związkiem krowim. W tej pozycji można czynić na plecach wszystkie pie-szcoty, jakie wykonuje się na ogół od przodu. Mężczyzna może także chwycić prawą ręką piersi kobiety, a lewą masować lechtaczkę, wkładając jednocześnie swą linge do pochwy. W ten spo-sób podwaja rozkosz tak pieśczęconej kobiety i może przyspieszyć jej orgazm na tyle, że zbiegnie się on z jego orgazmem.

W tej pozycji macica jest najlepiej usytuowa-na do zapłodnienia, gdyż jej dno znajduje się po niższej szyjki. Pozycja ta jest najbardziej natu-ralna, choć dostarcza mniej rozkoszy, ponieważ lech-taczka nie jest pocierana, chyba że sięgnie się doń ręką.

CDN

(Fragmenty pochodzą z książki „Kamasutra i inne REGULY MIŁOŚCI” zebrane przez P. E. Lamairesse’a byłego naczelnego inżyniera w Koloniach Francuskich w Indiach”. Przekład Bohdana H. Jezierskiego, Wyd. KAW, Katowice 1986).



W historii satyra znalazła swoje miejsce jako broń do specjalnych poruczeń. Satyra, wspierająca określone stronnictwa, władze lub partie, jest bronią ofensywną, mającą w swoim arsenale różne środki wyrazu: rysunek, felieton, artykuł, anegdotę. Satyra, aby się urodzić, musi mieć sprzyjające podłoże, wówczas rozkwita bujnie.

W państwach totalitarnych krytyka instytucji lub osób związanych z władzą jest utrudniona. Władza puszy się jak tokujący ciętrzew, przez co staje się śmieszna, a kto wytknie jej tę śmieszność, staje się niebezpieczny. Jest nawet specjalne określenie prawne za czyn osmieszenia władzy tzw. „zbrodnia zelżonego majestatu”.

Typowym przykładem jest tu sprawa Mai Berezowskiej. Autorka w 1935 r. w paryskim czasopiśmie „L'Espresso” zamieściła „Miłostki słodkiego Adolfa” cykl 11 rysunków wyśmiewających Hitlera. Ambasada niemiecka wpadła we wściekłość. Na jej interwencję policja francuska wytoczyła artystce proces, który, o dziwo! Berezowska wygrała. Rysunki na tyle były atrakcyjne, że w 1936 r. zakupił je ówczesny premier Francji Albert Sarraut. Po wrześniu 1939 r. niemieckie władze okupacyjne Polski przypomniały sobie ten cykl rysunków i autorkę. 29 stycznia 1942 r. Berezowska została aresztowana. Początkowo przebywała na Pawiaku w Warszawie, a później została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Dzięki pomocy współwięźniarek uniknęła śmierci. W miarę możliwości tworzyła rysunki.

K. Zygmunt w książce „Wspólnota śmiechu” przytacza bardzo ciekawy i nieznany przypadek, który miał miejsce na wiele lat wcześniej od wyżej opisanego i był akcją „międzynarodową”. Władcy obrazali się zarówno za komiczne przedstawienia ich samych i polityki, jaką uprawiali, jak i wysmiewanie kraju czy społeczeństwa, jakim rządili. Jak długie miały przy tym ręce, może świadczyć przykład losu polskiego satyryka imieniem Stercorius, który za czasów rządów króla Szczerbka, a następnie także Anglii i Irlandii, Jakuba I, napisał w naszym kraju satyrę na Szczerbka. Oburzyła ona tak króla, autora dzieł poetyckich i teologicznych, między innymi utworu „Basilikon Doron”, w którym udawał, że absolutna władza króla jest pochodzenia boskiego, iż podjął skuteczne działania, aby doprowadzić do skazania i stracenia autora. Udało mu się to ostatecznie; skrupulatne kroniki informują, iż kosztowało to rząd angielski 600 funtów.

Satyrykami, ze względu na ich specyficzną rolę w kulturze, interesują się wszystkie służby bezpieczeństwa. Nasz wybitny karykaturzysta i dziennikarz Jerzy Szwajcer w książce „Ze wspomnień karykaturzysty” opisuje, rzecz dziwna, ale naprawdę miłą przygodę z rodzimym ministrem Bezpieczeństwa Publicznego. To idylliczne spotkanie, pełne wzruszenia dla obu stron, tak zapamiętał bohater: „Moja działalność sprawozdawcza nie ograniczała się jednak do sal konferencyjnych, teatralnych, itp., zdarzyło mi się też być w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Było to w jesieni 1946 r. Zawiadomiono mnie, bym się tam zgłosił w ważnej i pilnej sprawie. Nie miałem pojęcia, o jaką sprawę chodziło, nie miałem też czasu, bym się dowiedział, dlaczego akurat mnie tam doproszono. Niebawem jednak sprawa się wyjaśniła. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego pragnęło po prostu podać do prasy wiadomość o udaremnieniu przez nasze organa bezpieczeństwa wywiezienia z granic bezczynnych dzieł sztuki. Była to słynna afera Andrzeja hr. Potockiego i współdziałających z nim grupowań podziemnych. W Ministerstwie udzielono przedstawicielom szczegółowych wyjaśnień w tej sprawie oraz umożliwiono obejrzenie ura-

## Bogumił Wtorkiewicz

towanych dla kraju skarbów. Znajdowały się wśród nich obrazy mistrzów różnych epok, liczne miniatury, staro-druki oraz dzieła sztuki zdobniczej. Cały zatrzęsiany transport liczył ogółem 1700 pozycji.

Wspominałem o władcach, którzy obrazali się za każdy dowcip o sobie, ale były wypadki, w których królowie za dowcip potrafili „odpalić” także dowcipem. Wieść głosi, że przed bitwą z Turkami w obronie Wiednia, wezwr Kara Mustafa wysłał posłańców do

dość zgrabne nogi i kształtne tylek obłożony w jasne majteczki. Jakoś nikt nie zrobił z tego powodu większego rabanu. Za rządów prezydenta Johnsona w USA urządzono wystawę „Johnson w karykaturze”. Okres był burzliwy — wojna w Wietnamie; Johnsona przedstawiano najczęściej jako żołnierza z różnych epok, walczącego beznadziejnie z realnym lub fantastycznym przeciwnikiem.

„Tam, gdzie — jak w państwach socjalistycznych — parlament spel-



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Jana III Sobieskiego z workiem maku, co, jak się wkrótce okazało, miało być trikiem satyryczno-propagandowym. Posłańcy, przybywszy do króla, rzekli buńczucznie, że ich jest tak dużo, jak ziarenek maku w worku. Jan III Sobieski dał posłańcom garnuszek wypełniony ziarenkami pieprzu, każąc przekazać wezwani, że naszego wojska jest wprawdzie tylko tyle, ile ziarenek w tym garnuszku, ale niech spróbują je rozgryźć.

General Charles de Gaulle był zmar-twy, jeśli przez dłuższy czas nie ukazywały się jego karykatury w prasie, gdyż sądził, że jest to znak iż maleje jego popularność.

W ustrojach demokratycznych satyra polityczna ma większe możliwości w wyborze „obiektywów do obróbki”. Satyrycy biorą „pod lupę”, a później ołówkę, znaczących polityków, działaczy państwowych, znane osobistości różnych dziedzin życia społecznego, by odpowiednio komentować ich działalność. Obiektem zainteresowania są politycy słowni w parlamencie między przedstawicielami opozycyjnych grupowań, zachowanie się posłów i polityków, walka plakatowa podczas wyborów, życie prywatne, swego czasu w Anglii głośna była sprawa związana z funkcjonowaniem ubikacji na jachcie królowej Elżbiety II. Zwolennicy ochrony środowiska chcieli wiedzieć, gdzie są odprowadzane nieczystości. Jeśli bezpośrednio do morza,

nia nową funkcję polityczną i nie jest terenem walki o władzę, komizm z nim związany przestaje mieć istotniejsze znaczenie — twierdzi K. Zygmunt. — Nie oznacza to bynajmniej aby w krajach socjalistycznych zanikała potrzeba komizmu politycznego. Odżywa on i aktywizuje się w okresach napięcia międzynarodowych i wewnętrznych, towarzyszy aktywizacji życia politycznego wtedy, gdy zarysowują się nowe zadania i problemy, towarzyszy funkcjonowaniu instytucji politycznych.

Przeglądając nasze pisma satyryczne, choćby „Szpilki” po 1945 r. oraz z lat sześćdziesiątych, zauważymy, że satyra polityczna odgrywała wówczas olbrzymią rolę. Najczęściej ganił imperia-lizm, kolonializm, odwetowców z Łaby, renegatów politycznych, wrogów ludu, polityków zachodnich, a jeśli trzeba, to i wschodnich. „Szpilki” zamieściły wówczas rysunek pt. „Nasza krew nie jest na sprzedaż”, przedstawiający grupę „olnierz”. Jeden z nich ręką odsuwa olbrzymią strzykawkę, trzymaną przez jakiegoś pana w naby generalskim mundurze. Rysunek jak rysunek, ale nad nim widnieje upiorna informacja. „Titości zmuszają żołnierzy jugosłowiańskich do dawania krwi, którą konsumują i sprzedają Amerykanom. Jak podaje titowski pismo „Narodna Armija”, w garnizonie zagrzebskim 80 proc. żołnierzy nie podporządkowało się temu rozkazowi”.

mieście czynne były jeszcze mniejsze zakłady winiarskie, którym „zarządza-”li” Matysiak, bracia Zborowscy i Laskowski. Wina zielonogórskie znane są do dzisiaj nie tylko w kraju, ale także i za granicą a święto winobrania obchodzą corocznie w miesiącu wrześniu, świą-ga do Zielonej Góry liczne rzesze turystów i entuzjastów Bachusa.

W Zielonej Górze w 1948 r. silnie był już rozwinięty przemysł włókienniczy. „Polska Wełna” zatrudniała wówczas 1500 pracowników i produkowała 1.100.000 m materiałów ubraniowych rocznie.

Z innych zakładów przemysłowych miasta czynnych w 1948 r. wymienić jeszcze należy Państwową Fabrykę Dywanów, Zakłady Przemysłu Szczerbka, PSS „Społem”, Browar Państwowy, Zakłady Państwowego Monopolu Spirytusowego, Państwowe Zakłady Graficzne, Gazownię i Wodociąg Energetyczny.

Ponadto w mieście czynne były Zaodrzańskie Zakłady Budowy Mostów i Wagonów, w których zatrudnionych było 2000 pracowników. Produkcja dzienna wynosiła 15 węgliarek, cystern i chłodziń oraz 10 ton konstrukcji metalowych. Z innych zakładów należy jeszcze wymienić Fabrykę Maszyn Rolniczych, Fabrykę Maszyn Włókienniczych oraz Państwowe Zakłady Wyróbów Drzewnych.

Dowodem aktywności władz szkol-

W lutym 1956 r. w warszawskiej „Kordegardzie” zorganizowano wystawę rysunków współpracowników „Szpilek” w latach 1935-1955. We wstępie do katalogu pisze się: „Przed „Szpilekami” stanęły nowe zadania. Bestia hitlerowska nie była jeszcze dobita. Młodemu państwu ludowemu zagrażał wrogi we-

wnętrzny. „Szpilki” przystępują do ataku, demaskują wrogów, walczą z dzie-dziwem rządów wokupanta.

Coraz aktywniej biorą „Szpilki” udział w walce klasowej toczącej się w naszym kraju, godząc jednocześnie w imperializm i w jego rzeczników na terenie międzynarodowym. Dookoła pisma skupiają się najrozmaitsi twórcy. Satyra „Szpilek” początkowo nieco elitarna, staje się coraz bliższa masom czytelników. Zwiększa po III Plenum, kiedy przezwyciężony błąd schematyzmu, włączając się w szeroką akcję krytyki „Szpilek” zdobywają sobie dziesiątki tysięcy nowych czytelników i przyjaciół dzięki swej walce przeciw wszelkim przejawom biurokracji i bez-duszności, przeciwko wszelkiej krzy-wdzie ludzkiej w naszym kraju”.

Osobnym rozdziałem jest rodzima satyra okupacyjna i powstań narodowych. Wiesław Głębocki i Karol Morawski w pracy „Kultura walcząca 1939-1945” piszą: „Tak jak gwa- i humor i satyra były nieodłącznymi towarzysza-mi Polaków. Były one narzędziami walki, ośmieszali wroga, kształtowały wolę w pewne zwycięstwo. Dowcip i żart — rodziły się spontanicznie i masowo już od pierwszych dni wojny, wyrasta-”jąc z realiów codziennego życia. Satyra, stara wypróbowana broń polityczna, została z nadzwyczajną skutecznością wykorzystana przez Polaków dla pogne-bienia wroga i podniesienia morale społeczeństwa. Śmiech zwyciężał wroga — imo ofiar, gdyż ośmieszony heli-tości nie przestawał być niepokonanym (...) Dowcip i anegdota nie miały granic. Krążyły po całej okupowanej Polsce w różnych wersjach i w różnej formie. Raz był to dowcip przekazywa-”ny z ust do ust dwuwersz czy frazka-”ka, celna karykatura w czasopiśmie lub przekształcenie niemieckiego zwro-”tu. Wszelkie były aktualne, doskonale zaadresowane, celnie raziły. Z poczynaniami okupanta nie polemizowano, lecz domaskowano je lub wykpiwano (...) Rzecz oczywista, iż największe tego ty-pu produkcje zamieszczały specjalne wi-dowiska humorystyczne, z których pierwsze pojawiły się już wiosną 1940 r.

W Warszawie ukazywały się: „Kret”, „Biały Koń”, „Nowa Mucha”, „Lipa”,

„Szpilki”, „Zadra”, „Halas na ulicy”, „Moskit” i „Dylizans”. W Krakowie — „Szubienica” i „Na ucho” w Pruszkowie — „Hak”.

Poza tym wydawano w języku niemieckim falsyfikat legalnego tygodnika „Eriki”. Pierwszy numer podrobionej „Eriki” ukazał się na okoliczność prima-”-aprilisową w 1942 r. w Krakowie. Umiejtnie włożony do już prawdziwej teczki „Eriki” w kasynie oficerskim, czytany był tam przez przeszło mie-siąc, jako prawdziwe pismo. Innym pi-smem w języku niemieckim był „Der Klabautermann”. Tytuł oznacza zjawę, która pojawia się na statku przed jego zatonięciem. W latach 1939-1945 wycho-dziło w okupowanym kraju 19 pism sa-tyrycznych, konspiracyjnych, w tym np. w Warszawie — 11, w Krakowie — 3, w Pruszkowie — 1, jedno w Tarnobrzegu i Sandomierzu.

W Zielonej Górze istniało w 1948 r. 5 szkół powszechnych, Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące, Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych, Gimnazjum Krawieckie, Szkoła Przeposobienia Gospodarstwa Rodzinnego, Szkoła Przeposobienia Krawiecko - Bielizniarskiego, Publiczna Średnia Szkoła Zawodowa, jedyna wówczas w Polsce Gimnazjum Winiar-sko - Sadownicze, dwie Szkoły Przeposobienia Przemysłowego, Szkoła Muzyczna oraz Szkoła Przemysłowa Zaodrzańskich Zakładów Budowy Mostów i Wagonów.

Szczególną aktywność kulturalną wykazywały: teatr amatorski przy Polskiej Wełnie „Reduta”, Związek Zawodowy Kolejowy, balet Anny Bekker oraz teatrzyk Domu Kultury i Sztuki pod kierownictwem inż. Dawida. Dużą żywotność przejawiał Związek Zawodowy Muzyków, którym kierował Zbigniew Julski. Od 15 lutego 1948 r. raz w tygodniu (niedziela) urządził on podwieczorek przy mikrofonie w siedzibie hotelu miejskiego.

Zielona Góra liczyła w 1948 r. 28.830 mieszkańców. Wzrost liczby ludności, zakładów przemysłowych oraz placówek kulturalno - oświatowych spowodował m.in. odwołanie działalności Miejskiej poczty. Już w połowie XVIII wieku przez Zieloną Górę wiodł trakt poczty konnej z Polski do Saksonii. Z chwilą jednak śmierci ostatniego Sas-y (5 października 1763) łączność ta ustała.

W marcu 1944 r. sześciometrowej długości kukłę Hitlera o glupkowatej twarzy zawieszono na zrujnowanym do mu przy skrzyżowaniu pl. Trzech Krzyży i ul. Hożej. Kukła oczywiście wzbudziła ogólną wesołość przechodniów do momentu, kiedy na polecenie Niemców miejska straż pożarna niezwykle ospale zdjęła ją z tego domu. Podobnych akcji odbyło się kilka. Jedną z nich z maja 1944 r., która miała miejsce na Zoliborzu, sfilmowano.

Satyre kukielkową, w tym wypadku żywą, stosowali partyzanci w Wietnamie Południowym, walczący z dyktatorem Diem. Otóż tapali dorodną małpę, najlepiej bardzo krzykliwą i ruchliwą, malowali jej na plecach napis w rodzaju „Jestem Diem” a następnie puszczali na ulice Sajgonu. Policja i służba bezpieczeństwa miały nie lada kłopot, gdyż do małpy nie można było strzelać, ponieważ mogłoby to znaczyć, że i Diem w jego własnej postaci można by ten sam środek zastosować. Najczęściej setki policjantów usiłowało złapać małpę, zwinnie uwiązując się po dachach, balkonach i drzewach aż nie zniknęła w dżunglii.

Zenon Jasiński w pracy pt. „Śląski kogel mogel” pisze o roli satyry podczas powstań śląskich. Jego refleksje nie tylko odzwierciedlają specyfikę satyry tego okresu, ale są także sentencją ogólniejszą roli satyry w podobnych okresach historycznych. „W historii naszego narodu humor i satyra towarzyszyły nam we wszystkich sytuacjach, nawet najcięższych. Głęboki śmiech wyzwał w nas refleksję i siłę działania, poprzez inne spojrzenie na swoją sytuację, poprzez jej zlekceważenie, zmniejszał się lęk przed mającą nierzaz nastąpić presją czy terrorem. Ośmieszając wroga, byliśmy mniej groźni. Wykpiwaliśmy Niemców stawał się ośmieszającym. Wystawione na pośmiewisko w krótkim dowcipie niemiecka buta, pruska pedanteria i szlachalność dawały walę i siłę w walce o przetrwanie”.

Głęboki sens oraz charakter satyry i karykatury politycznej rozumieł wszyscy ci, którzy w broszurach, książkach i pismach zamieszczali rysunki satyryczne i dowcipy polityczne w tamtych latach. Miały one zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na problem Górnego Śląska i mieszkającej tam ludności polskiej.

Często satyra powstaje dosłownie w sekundzie. Podczas okupacji Paryża, Niemcy odwiedzali pracownię Picassa, gdzie wisiały szkice do jego słynnego obrazu „Guernica”, przedstawiającego zbombardowanie hiszpańskiego miasta przez hitlerowców podczas wojny domowej. Jeden z hitlerowców, patrząc na szkice, zapytał: „Czy to pana dzieło?”. Na co Picasso odpowiedział: „Nie, wasze!”.

Satyra aby była skuteczna, a jednocześnie potwierdzała wartość i słusność strony, którą się nią posługuje, nie może być stosowana tam, gdzie obie strony popełniają te same błędy.

W 1866 r. miasto otrzymało centralę telefoniczną, drugą po Wrocławiu na Dolnym Śląsku. W 1936 r. zaistniała nowa centrala automatyczna. W dniu 4 czerwca 1945 r. do Zielonej Góry przy-byla pierwsza grupa pocztowców na czele z Janem Grellusem, który wkrótce objął urząd naczelnika Obwodowego Urzędu Poczтового.

Polską Poczta uruchomiono w Zielonej Górze 28 czerwca 1945 r. 27 lipca tego roku założono pierwszy przewód telefoniczny do Poznania, a 4 sierpnia automatyczną centralę telefoniczną. Do 1 grudnia 1945 r. czynnych było w mieście 20 placówek pocztowych.

W Informatorze możemy odnaleźć 861 numerów telefonicznych, zarówno prywatnych, jak i państwowych. Dla przykładu: Zygmunt Niemiński prowadził sklep z instrumentami muzycznymi i sprzętem radiowym, Roman Przybyłowicz sklep galanterijny, S. Szurkowski szlifiernię szkła, sprzedawał ponadto obrazy i dewocjonalia, piekarnię i cukiernię prowadził Franciszek Mizgałski, zaś właścicielem Domu Handlowego „Koskar” był E. Kostrzewski.

Warto poznać się bliżej z Informatorem Poczтовым Zielonej Góry z 1948 r. Mówi o ludziach w większości już nieżyjących — pionierach miasta i Ziemi Lubuskiej. Wielu z nich wniosło po-ważny wkład w dzieło odbudowy Ziemi Odzyskanych i zespolenie ich z Macierzą. I chwala im za to.

WIESŁAW HEADKIEWICZ

## Zielona Góra - trzy lata po wojnie

Przypadkowo odnalazłem w prywatnych zbiorach „Informator pocztowy Zielonej Góry na rok 1948”. Wydał go Związek Zawodowy Pracowników Poczty i Telekomunikacyjnych w Zielonej Górze.

Informator zawiera: rys historyczny Zielonej Góry piora Feliksa Musielaka, krótką notę o historii poczty, spis miejscowości powiatu z uwzględnieniem poczty, opłaty taryf pocztowych, telegraficznych oraz telefonicznych w obrobie krajowym i zagranicznym, spis abonamentów telefonicznych oraz ogłoszenia i reklamy.

„I mocno już pożyłkłych kartkach” informator wyczuje się w historii stolicy Ziemi Lubuskiej w latach 1150-1122 — wózgorzu przy ulicy Ceglanej (dziś KRN) istniała osada polska, nazywana Zieloną Górą, gdyż wózgorze to było po-”kryte gęstą zielenią. Stąd też miasto otrzymało nazwę Zielonej Góry. Pol-

ska nazwa miasta utrzymała się do 1641 roku i została odtąd przemianowana przez Niemców na Grünberg.

W XII wieku wielkorządcą śląski Piotr Włast ze Skrzynia sprowadził z Arras mnichów z zakonu Augustynów i osadził ich w Nowogrodzie nad Bobrem. Ci zaś ściągali tu swoich rodaków z Flandrii i Frankonii, którzy wprowadzili na Śląsk winną latorośl i tkactwo. Uprawa winnej latorośli w Zielonej Górze utrzymała się poprzez wszystkie burze dziejowe, stając się podstawą rozwoju przemysłu winnego.

W 1826 r. założono w „winnym gro-dzie” wytwórnię win. W 1948 r. „Pań-stwowa Fabryka Win Musujących” by-”ła „większym zakładem tego typu” w Polsce. Zatrudniała około 100 pracow-ników i produkowała ponad milion bute-lek „boskiego” nektaru rocznie.

Oprócz wymienionej Wytwórni w



## KLUBOWE WIZYTOWKI

Dział Kulturalno - Oświatowy Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki w Poznaniu zaprasza po raz kolejny na spotkania z „poezją i prozą”. Tegoroczne „spotkania” poświęcone są twórczości Józefa Czechowicza (1903-1939), tworzącego w drugiej połowie okresu międzywojennego, łączącego poezję awangardy z nastrojowym liryzmem.

Józef Czechowicz pisał także wiersze dla dzieci. Stąd też w „spotkaniach” z

twórczością Czechowicza uczestniczyć mogą zarówno dorośli jak i dzieci.

Podstawowym warunkiem udziału w „spotkaniach” dzieci jest pamięciowe opanowanie przez nich jednego utworu dla dzieci Czechowicza oraz wybranego wiersza lub fragmentu prozy, których autorem jest jeden z podanych w regulaminie pisarzy, jak np.: Krystyna Boglar, Wanda Chotomska, Janusz Domański, Ludwik Jerzy Kern, Tadeusz Kułak, Ryszard Liskowski, Edmund Nizurski.

Warunkiem udziału dorosłych w konkursie jest również opanowanie pamięciowo jednego wiersza Czechowicza oraz jednego utworu poetyckiego lub fragmentu prozy, któregoś z twórców regionalnych.

„Spotkania z poezją i prozą”, trwają od października 1986 r. do kwietnia 1987 r. Pierwszy etap to „spotkania” w klubach i bibliotekach (będzie trwał w styczniu i lutym 87 r.), drugi etap to „spotkania” wojewódzkie (przeprowadzone w marcu 87 r.) oraz trzeci, ostatni etap, to już wielka impreza międzywojewódzka, która już tradycyjnie odbędzie się 4 kwietnia 1987 roku w Poznaniu.

W pierwszym etapie, zgodnie ze wskazaniami regulaminu, najważniejsze jest zapoznanie się z twórczością i osobowością autorów przez wspólne czytanie ich utworów, recytacje, wieczory literackie itp. Tam też zostaną wytypowani recytatorzy na spotkania wojewódzkie, gdzie prezentowane będą naj-

wartościowsze propozycje indywidualne i zespołowe z poprzedniego etapu. Spotkanie międzywojewódzkie będzie turniejem najciekawszych interpretacji wierszy Józefa Czechowicza i utworów innych autorów.

Jeszcze nie jest za późno, aby wziąć udział w „spotkaniach z poezją i prozą”, do których główny organizator RSW „Prasa-Książka-Ruch” PUPiK w Poznaniu serdecznie zaprasza dorosłych i dzieci. Wystarczy wypełnić kartę zgłoszenia dołączoną do regulaminu, którą otrzymali kluby i wysłać do swojego oddziału RSW. Wszyscy uczestnicy spotkań otrzymają nagrody książkowe i pamiątkowe kartki, a najlepszym recytatorom wręczone zostaną medale imienia Kazimierza Iłakowiczówny.

Głównym organizatorem „spotkań” jest Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki w Poznaniu, a współorganizatorami: Pałac Kultury, Ogólnopolski Ośrodek Sztuki dla Młodzieży i Oddział Wojewódzki Kultury Teatralnej w Poznaniu. Ponadto Przedsiębiorstwa RSW w Szczecinie i Zielonej Górze oraz Wojewódzkie Biblioteki Publiczne w Poznaniu, Lesznie, Koninie, Kaliszu, Pile, Szczecinie, Gorzowie i Zielonej Górze.

„Spotkaniom” patronują: Oddział Związku Literatów Polskich w Poznaniu oraz „Głos Wielkopolski”.

ZENON CZARNECKI

## Konkurs poetycki

### O laur „Jaworowego Liścia”

Jaworski Ośrodek Kultury ogłasza konkurs poetycki pod hasłem „Człowiek - Przyroda”. W konkursie mogą wziąć udział poeci wszystkich pokoleń. Na adres organizatorów: Jaworski Ośrodek Kultury, Rynek 5, 59-400 Jawor, tel. 28-78, należy nadesłać zestaw trzech wierszy, nie przekraczający sześciu stron maszynopisu, w trzech egzemplarzach. Wiersze nie mogą być publikowane do czasu ogłoszenia wyników konkursu.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do drukowania nagrodzonych prac w pierwszej kolejności.

Najlepsze prace zostaną nagrodzone:

- I — 12.000 zł
- II — 10.000 zł
- III — 8.000 zł

oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać do dnia 1 kwietnia 1987 roku, z załączeniem: „prace konkursowe”. W osobnej kopercie, z tym samym godłem, prosi się o podanie imienia i nazwiska autora oraz dokładny adres.

Jury konkursu może dokonać zmian w sposobie nagradzania prac, nie zmieniając przy tym ogólnej sumy nagród.

Skład jury zostanie podany do publicznej wiadomości. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w trakcie VIII Jaworskich Biesiad Literackich im. H. Worcella, w I dekadzie czerwca 1987 roku.

Laureat głównej nagrody zostanie także odznaczony laurem „Jaworowego Liścia”.

## Wielkopolarie

ale przede wszystkim co do osób uznanych za Wielkopolarie. Autor uważa, że Wielkopolariną był Jan Amos Komenski urodzony na Morawach, wybitny czeski pedagog, reformator szkolnictwa i twórca nowożytnej pedagogiki. To, że znalazł on schronienie u Rafała Leszczyńskiego w Lesznie, że kilka lat wykladał w tamtejszym gimnazjum, że występował w czasie najazdu szwedzkiego przeciwko królowi Polski Janowi Kazimierzowi nie nobilituje go na Wielkopolariną. Stosując te same kryteria, a raczej ich brak należało zaliczyć w poczet Wielkopolarin Roberta Kocha, wybitnego niemieckiego lekarza, bakteriologa, laureata Nagrody Nobla, ordynującego przecież w Wolsztynie. Ale zostawmy obokrajowców, których tak wielu w naszej nauce i kulturze. Wystarczy nam przykładów polskich. Stanisław Koźmian (1836-1922) urodzony na Lubelszczyźnie zasłużony dla Poznania tylko dlatego, że jako dyrektor

teatru krakowskiego przyjeżdżał ze swoim zespołem, natomiast Jan Ignacy Paederewski już nie. Podobnych niekonsekwencji jest wiele. Być może są one celowym zamierzeniem, aby każdy, kto spotka się z tym opracowaniem, samo dziełnie ustalał kryteria.

Opracowanie to zasługuje na szerszą popularność wśród zbieraczy. Niestety, mimo upływu kilku miesięcy sklepy filatelistyczne jeszcze tej broszury nie posiadają i nie wskazują na to, że warszawska centrala Przedsiębiorstwa Filatelistycznego udostępniła tę nową pozycję szerszemu gronu zbieraczy. A może jeszcze w Warszawie nie wiedzą, że w Poznaniu ukazała się taka broszura?

M. SŁAWOMIR

Wielkopolarie na polskich znakach pocztowych — Poznań 1986, Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne.

tona, sił, kantylena, śledztwo, Ise, ohar, frak, nastrój, kark, dach, zół, zad, Ci.) Nagrody ufundowane przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Zielonej Górze wylosowali: radio „Monika” — Jerzy Cieniak, ul. Budziszyńska 30/15, Zielona Góra • żelazko — Barbara Nowopolska, ul. Wróblewskiego 19 B m. 8, Gorzów Wlkp. • wazon wietnamski — Nikodem Zwoliński, ul. Ptasia 26/10, Zielona Góra • młyn do kawy — Lech Gregorowicz, ul. Przędzka 3, Zielona Góra • lniany obrus — Zbigniew Krugliński, ul. Zawadzkiego 36/5, Zielona Góra. Gratulujemy!

Czytelników z Zielonej Góry prosimy o skontaktowanie się z WPHW w Zielonej Górze (ul. Energetyków 2, II piętro, p. 231, tel. 645-06 wew. 303 w godz. 7.15-15.15), zaś Czytelników z Gorzowa otrzyma nagrodę pocztą.

GORZÓW. W tym roku Zakłady Włókien Chemicznych „Stilon” dostarczą na rynek nie 5 tys. jak pierwotnie zamierzano, lecz 200 tys. Kasety wideo w systemie VHS. Większe możliwości wytwórcze zostały stworzone przez Wydział Komitetu do spraw Postępu Technicznego przy Radzie Ministrów. W ciągu najbliższych dwóch lat „Stilon” będzie wytwarzać kasety z taśmami i elementami imitacyjnymi. Wielkoseryjną produkcję w ilości 2 mln sztuk rocznie zakład uruchomi po roku 1989. Wymaga to jednak zakupu maszyn umożliwiających wyrób folii i elementów kasety. Trwają jeszcze dyskusje, ile złotych powinna kosztować polska kasetka wideo.

\* Z okazji 10-lecia swojego istnienia Gorzowskie Towarzystwo Kultury zimą ubiegłego roku ogłosiło konkurs, którego celem była popularyzacja inicjatyw, pomysłów i przedsięwzięć podejmowanych przez społeczny ruch kulturalny. W grudniu konkurs został rozstrzygnięty, jury pierwszej nagrody nie przyznało. Dwie drugie nagrody przypadły Towarzystwu Miłośników Kostrzyna i Towarzystwu Miłośników Ziemi Choszczeńskiej. Trzecią nagrodę jury przyznało Strzelecko-Krajeńskiemu Towarzystwu Kultury, wyróżnienia — Towarzystwu Miłośników Skwierzyny i Międzychodzkiemu Towarzystwu Kulturalnemu.

\* Po raz czwarty Muzeum Okręgowe w Gorzowie zorganizowało konkurs na rzeźbę, zapraszając do udziału w nim twórców ludowych. Ośmiu uczestników konkursu przedstawiło jury 52 prace. Komisja pod przewodnictwem Michała Puklicza pierwszą nagrodę przyznała Stanisławowi Krynickiemu z Tarnowa, w gminie Lubiszyn, a nagrody trzecie — Eugeniuszowi Szeliście z Gorzowa i Grzegorzowi Gralińskiemu ze Strzeleca Krajeńskiego. Ciekawskie prace Muzeum zamierza zakupić do swoich zbiorów. W przyszłości znajdą się one w skansenie w Bogdanowie.

SKWIERZYNA. Skwierzyński Ośrodek Kultury należy do aktywniejszych w województwie gorzowskim. Od niedawna w SOK działa zespół pieśni i tańca, istnieją sekcje i kluby zainteresowań. Pod koniec ubiegłego roku Ośrodek zorganizował Turniej Recytatorski im. Włodzimierza Majakowskiego. W turnieju uczestniczyło 30 recytatorów z różnych miejscowości regionu gorzowskiego. Dwie równorzędne nagrody otrzymali — Tadeusz Kurczyński z Myśliborza i Jacek Braciak ze Strzeleca Krajeńskiego. Nagrodę zespołową jury przyznało Teatrowi Poezji działającemu w Szkole Podstawowej nr 2 w Skwierzynie. Współorganizatorem Turnieju był Zarząd Wojewódzki TPZR w Gorzowie.

ZIELONA GÓRA. Zarząd Główny TPZR zdecydował, że XXIII Festiwal Piosenki Radzieckiej odbędzie się w dniach 8-13 czerwca 1987 r. Festiwal poprzedzi koncert „Barwy przyjaźni” w wykonaniu dzieci i młodzieży biorących udział w Festynie Piosenki i Tańca Kraju Rad. W kolejnych dniach odbędą się dwa koncerty kwalifikacyjne, koncert profesjonalistów „Gwiazdy estrady radzieckiej”, koncert laureatów i koncert Przyjaźni. Jak każdego roku festiwalowi towarzyszyć będą Dni Literatury Radzieckiej, Plener Przyjaźni, wystawy, kiermasze, spotkania. Odbędzie się również Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna „PRL — ZSRR”. Powołano już komitet organizacyjny festiwalu, składający się z przedstawicieli zielonogórskich instytucji kultury, oświaty, handlu, wypoczynku. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego jest Zygmunta Stabrowski — przewodniczący ZW TPZR w Zielonej Górze, jego zastępcami: Edward Hładkiewicz — sekretarz ZW TPZR, Michał Papiński — kierownik Wydziału Ideologicznego KW PZPR i Jan Zięta — wicewojewoda zielonogórski.

\* Podczas niedawnego spotkania działaczy społecznego ruchu kulturalnego zdecydowano, że jubileuszowe uroczystości 30-lecia Lubuskiego Towarzystwa Kultury zostaną połączone z wojewódzką inauguracją roku kulturalnego i sezonu artystycznego 1987/88. W czasie spotkania Złoty Krzyż Zasługi — otrzymała Bolesława Sidorska z Nowej Soli, Srebrny Jerzy Szynder, wiceprezes Nowosolskiego Towarzystwa Kultury, odznakę honorową „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego” — Józef Kurnyta z Zielonej Góry.

\* Na IV Biennale Fotografii Artystycznej Amatorów 35 autorów nadesłało 213 prac. Jury pod przewodnictwem artysty fotografika Jerzego Szalbierza nagrodę pierwszą przyznało Piotrowi Węclawskiemu ze Świebodzina za zestaw „Dziwcyzna i lustró”. Przyznano również 5 wyróżnień. Wystawa pokonkursowa odbędzie się jeszcze w styczniu w Zielonej Górze.

LAUREACI. Wśród zdobywców dyplomów w randze złotych medali podczas Międzynarodowej Wystawy Filatelistycznej „Paxfilia”, która odbyła się w Warszawie, są Lubuszanie: Teresa i Andrzej Stankowscy z Gorzowa, Zdzisław Wiatrowski z Nowej Soli i Anna Stankowska z Gorzowa (w klasie młodzieżowej). Trzecią nagrodę w konkursie na wspomnienia pt. „Jeden miesiąc mojego życia”, zorganizowanym przez „Tygodnik Kulturalny”, otrzymała Krystyna Mucha z Jemiołowa w gminie Łagów.

W TEATRACH NADODRZA: Gorzów — „Turoń”, „Słowicza wyspa”; Zielona Góra — „Gdy obudzą cię rankiem”, „Wodewil warszawski”; Legnica „Nieboska komedia”.

PERSONALIA. Józef Cyganek — 48 l. (żona pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej, dwoje dzieci) absolwent poznańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, mieszkaniec Zielonej Góry, laureat wielu konkursów artystycznych — wykonał popiersie Włodzimierza Lenina, które ustawiono w Ślubicach na placu Lenina. Maria Gontowicz — studentka II roku Wydziału Zamiejscowego poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego w Gorzowie, wicemistrzyni świata w judo (do 56 kg), brązowa medalistka mistrzostw Europy w judo, zdobywczyni pierwszego miejsca w ubiegłorocznym turnieju w Fuko-oka (Japonia) — została laureatką plebiscytu na najlepszego sportowca województwa gorzowskiego.

ZAPROSILI NAS: Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na plenarne zebranie, Biuro Wystaw Artystycznych i Związek Polskich Artystów Fotografików w Gorzowie na otwarcie wystawy fotografii Romualda Zielazka pt. „Po drugiej stronie lustra”, Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego na nadzwyczajny recital Nobu Wakabayashi, Filharmonia Zielonogórska im. Tadeusza Bairda na spotkanie z Dorotą Siudą — finalistką IX Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego w Poznaniu, (czytaj reportaż „Mistrz i Dorota” w b. numerze) członkowie Ochotniczego Teatru Ad. i działający przy Strzelecko-Krajeńskim Domu Kultury na premierę sztuki F. Karinty’ego „Proszę o zwrot czesnego” w reżyserii Dariusza Muszera i opracowaniu plastycznym Grzegorza Gralińskiego. Dziękujemy.

## nadodrże

### DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-061 Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13 i p. oraz adres dla korespondencji: 65-033 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 48. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 108-33, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 45-61 do 7 łaczy telefony wewnętrzne Telex: Adaska-Skarbek, Luwna Grabowska, Lewek Hermanowicz (red. graf. techn.) Michał Horowicz Janusz Koniński (red. naczelny) Małgorzata Kowalska Mastowska (statystyka), Zenon Łukasz

wicz (2-ca red. naczelny) Wiesław Nodzyński (korektura red.) Piotr Piotrowski, Ryszard Rókiński, Alfred Siatcki, Korketa, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji Elżbieta Waińska Wydawca RSW „Prasa - Książka - Ruch” - Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor: Zbigniew Plekiewicz tel. - 717-95  
Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam - Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra al. Niepodległości 25 oraz wszystkie placówki ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Materiały (teksty i fotografie) nie zamówionych redakcja nie zwraca w przy padku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.  
Zam. 1422 B-20



Jeśli ktoś zacznie o podróżach zagra-  
nicznych, suchej nitki nie zostawia na  
tym co swojskie, co nasze. Tu droga,  
tam taniocza. Tu „maluch” — duży ma-  
jątek i towarzyski awans, tam wstyd z  
takiego auta wysiadać. Tu benzyna na  
kartki, tam co kilometr stacja paliwo-  
wa, tankowanie bez ograniczeń. Tu tan-  
deta i brak wyboru, tam pełno dobrych  
rzeczy, że głowa boli. Tu brudy dooko-  
ła, a tam ubikacje czyste, jak u nas ta-  
lerze do obiadu.

A do tego jeszcze u nich oddycha się  
absolutną wolnością, a u nas nie pozwa-  
lają pisać. W ogóle — u nich człowiek  
to młody bóg, u nas zaś — dużo się o  
humanizmie mówi, lecz praktycznie do  
szanowania człowieka jeszcze bardzo  
daleko.

nawet Węgrami — porażeni, raczej nie  
uleczalnie. Ze w ogóle tu, do ojczyzny  
kraju wracają, to czynią wielką łaskę  
władzy, bliskim. Ktoś w takim gądo-  
le przecież też musi egzystować. Oni po-  
męczą się tej roli się podejmują. Za-  
co, oczywiście, należy ich całować po-  
w. Wśród tych obywateli nie brakuje  
takich, co zajmują wysokie, odpowie-  
dzialne stanowiska. Od nich zależy nie-  
raz dużo w zakładzie pracy, w środo-  
wisku zamieszkania. Spodziewać by się  
należało, iż owe wyprawy zagraniczne  
„dławią” na ich „pozaosobisty” styl ży-  
cia, działania. Bo przecież — jak mó-  
wi — mają w głowach górę recepty na  
lepsze albo idealne urządzenie jedno-  
stankowej i zbiorowej egzystencji tutaj, u  
nas, u siebie, w Polsce po prostu.

Otóż nasi globtroterzy głównie narze-  
kają. Narzekają — albo na zwierzchni-  
ków, albo w ogóle na jakąś „góre”, któ-  
rą im uniemożliwia racjonalne działa-  
nie. Sek wszak w tym, że działać nie  
chcą. Ze zwykłego wygodnictwa, prze-  
sadnej ostrożności. Narzekać się —  
owszem — lecz tylko na przejściach

granicznych. Ostatecznie się nie uda. W  
zasadzie — zdaje się — całe sprzężenie  
węgo intelektu kierują właśnie na  
prawy celno — finansowe.

A przecież moglibyśmy korzystać, ja-  
ko społeczeństwo, z dalekich wędrówek  
naszych rodaków. Nikomu kontaktów z  
wielkim światem nie zazdroścę i je-  
m jak najdalej od utrudniania wyjaz-  
dów na Zachód i na Wschód. Tylko —  
li już tak lubimy zachlustywać się  
japończykami na przykład, spróbujmy  
ich choć w części naśladować.

Oni kiedyś u siebie — wcale nie-  
dawną — mieli bardzo dużo do zrobie-  
nia. Ale oni nie lekceważyli swego kra-  
ju. Raczej zwołili do siebie dobre wzo-  
ry, pomysły i wprowadzali je wiernie  
o praktyki gospodarczej, społecznej.

Może zatem stworzyć dla wyjeżdża-  
jących jakieś zachęty dla poprawiania  
różnych rozwiązań w rodzimym zakła-  
dzie, instytucji? Może premiować „ko-  
piowanie” bądź przystosowywanie nie-  
których „obcych” pomysłów na nasz  
grunt? Może?

STANISŁAW ŚWINIARSKI



## MORGIŃKI

**CO TO JEST SZTUKA?** Próbę odpo-  
wiedzi na to pytanie znajdujemy w 3  
ubiegłorocznym numerze czasopisma  
„Sztuka”. W dziale „Interpretacje sztu-  
ki” toczy się taki dialog: Sztuka: — Co  
Panowie mają do powiedzenia? Tracew-  
ski: — Sztuka pojawia się jak błyska-  
wica. Sztuka: — Co to znaczy? Dowgiał-  
ło: — Sztuka pojawia się jak błyskawica  
co. Sztuka: — Wieg o czym będziemy  
mówić? Dowgiałło: — O kobietach.  
Sztuka: — Dlaczego? Tracewski: — Ko-  
biety są piękne. Sztuka: — Czy sztuka  
też jest piękna? Dowgiałło: — Sztuka  
jest cudowna. Tracewski: — Czasem  
nawet wtedy, kiedy jest ohydna. Gau-  
guin mówił: — To co jest ładne nie mo-  
że być piękne, a brzydkie — owszem.  
Dowgiałło: — Gauguin to trup. Sztuka:  
— Kto nie jest trupem, na pewno? Ko-  
go się szanuje za to, że jest żywy? Dow-  
giałło: — Woźniak, Ryszarda Woźni-  
ka, wiecznie żywego. Sztuka: — Czy  
Pan nie wie? Tracewski: — Ja nie  
nie powiem. Sztuka: — Rozumiem, że  
Panowie nie chcą mówić o sobie. Tra-  
cewski: — Głównie nie chciałbym mó-  
wić o sobie. To nie wydaje się być in-  
teresujące. Dowgiałło: — Ja się przychy-  
lam. Sztuka: — A ja tego nie rozumiem.  
I my tego nie rozumiemy, choć  
doceniamy głęboką samowiedzę arty-  
stów.

**DWUGŁOS O GROCHOWIAKU.** W  
minionym roku, w dziesiątą rocznicę  
śmierci poety, wzrosło zainteresowanie  
jego dorobkiem twórczym, w tym — pi-  
saniymi w końcowych latach życia wier-  
szami w konwencji haiku-images. Krzy-  
stof Karasek („Literatura” nr 11-12 z  
ub. roku) ostatni tom Grochowiaka  
„Haiku-images” nazywa „najbardziej pre-  
tensjonalnym tomem powojennej liryki  
polskiej, w którym poeta staje się nawet  
już nie przechołką, lecz puszczaniem  
zajczków lusterkiem”. Z kolei Marek  
Obarski w „Nurcie” (nr 12 z ub. roku)  
stwierdza w euforii: „Niez okrutnego  
piękna i ludzkiego smutku w jesiennych  
opóźnieniach przemijania, w pejza-  
żach losu, które zawarł w skończeniu  
doskonałych „haiku-images””. A spór  
rozstrzygnie nam profesor Sandauer.

**MAŁY REALIZM.** W tak zatytułowa-  
nym cyklu felietonów, publikowanych  
na łamach „Kultury” Marek Kasz w  
nrze 52-53 z ub. roku opisuje „Weekend  
na Morawach”, oświadczając przy oka-  
zji: „Tu byłem i tam byłem, o Mora-  
wach wiem wszystko. Podejrzewam, że  
gdybym pobyt ze cztery godziny na lot-  
nisku w Delhi, wiedziałbym co trzeba  
o Indiach, a już na pewno więcej niż  
Centrum Studiów Polityki i Propagandy”.  
Ponieważ jak dotychczas takiego  
Centrum nie mamy, stwórzmy go jak  
najprędzej dla Kasza, a pełną informac-  
ję sobie wreszcie zapewnimy!

**NORMA POLSKA.** Z kolei w tym sa-  
mym numerze „Kultury” Stefan Ko-  
zicki w felietonie „Szczypota” pisze: „Sz-  
czę, że można by nawet sprowadzić do  
Pawła angielski albo francuski piasek.  
Najwykniejszy piasek. No, może w ko-  
lorowych opakowaniach. I też by po-  
szedł. Bardzo tę moją ideę polecam  
czynnikom resortowym i innym. Na pia-  
sku z drugiego obszaru płatniczego moż-  
na będzie osiągnąć najwyższe drenażo-  
we przesłczniki”. Dodajmy, że piasek  
może być również polski, byle opakowa-  
nia były zagraniczne.

**W LESNEJ CHATCE.** Jak donosi Anna  
Białycka („Rzeczywistość” nr 51-52 z  
ub. roku) swój jesienny urlop spędził  
w lesnej chatce, wraz z Piętaszkiem,  
„daleka od zgiełku świata, dosyć bo-  
gobojnie, jeśli nie liczyć oczywiście fak-  
tu, że nie jesteśmy mężem i żoną”. Po  
powrocie do stolicy felietonista napot-  
kała „falę plotek i komentarzy. Najda-  
lel idące z nich głosiły, że swoją uro-  
dę i ciągłe jeszcze niezaprzeczalne  
sex appel'em oszłomilał tak dalece  
jednego z ministrów, że zdecydował się  
on dla mnie porzucić nie tylko żonę,  
dzieci i poprzednią kochankę, ale także  
fotel ministerialny. Czytelnicy oczywiście  
w tym miejscu zaraz zaczęli zgadywać  
o kogo chodzi, skłopot jednak w tym,  
że ja sama w sferze swojego życia ero-  
tycznego nigdy nie przejawiałam naj-  
mniejszych nawet skłonności prozodo-  
wych, a już zupełnie daleka jestem od  
tego, żeby powodować jakiegokolwiek  
w łonie naszego spracowanego i mocno  
skłopotanego „gabinetu”. O stosunkach  
z Piętaszkiem informacji brak.

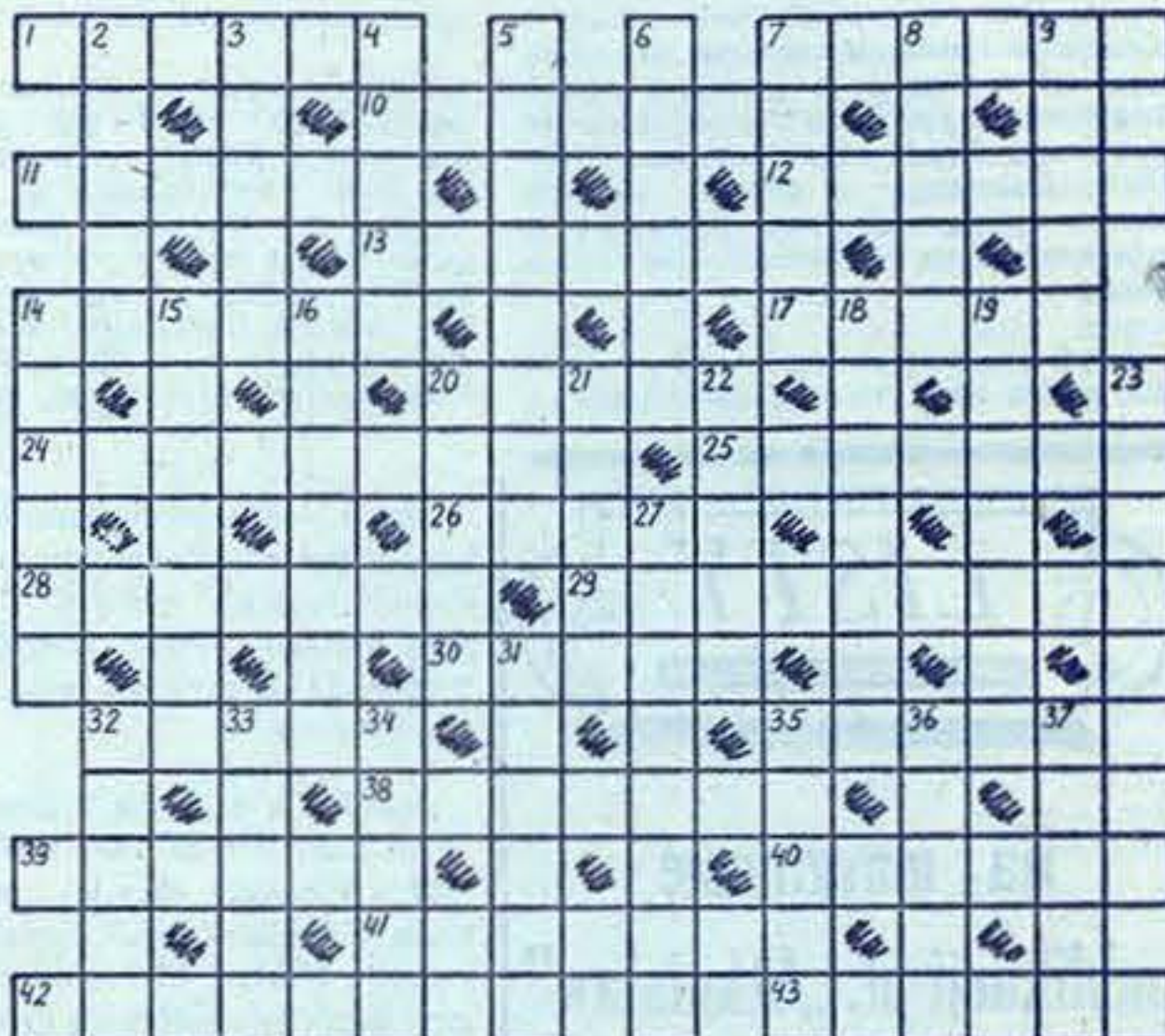
**MIŁOŚĆ I OKRUCIEŃSTWO.** Ostatni  
ubiegłoroczny numer „Życia Literackie-  
go” (nr 51-52), ukazującego się w Kra-  
kowie, swą zawartością zdystansował  
tygodniki stołeczne. Przede wszystkim  
odnajdujemy w nim ciekawszy „Pow-  
rót do Edenu” — scenariusz napisany  
w tonacji łzawo-szarej i okrutnej wy-

powieź Krystyny Jandy: „...jestem  
chamska i bezczelna, dlatego się przebi-  
lam”, oraz — co nas szczególnie wzru-  
szyło — fotografie redaktora naczelnego  
pisma, w ojcowiskim geście trzyma-  
jącego ręce na głowach kubańskich  
dzieci. Ponadto, jak zwykle komentarz  
Władysława Machajki „Z mojego obser-  
watorium”, z którego dowiedzieliśmy  
się, iż „...Mańka (red. Małatyńska —  
nasz przyp.) jest łagodna i pomieśtna,  
jak red. Witold Nawrocki charakterysty-  
zoł ten określoną miłość”. Słowem, mie-  
szanka miłości i okrucieństwa. I pomyś-  
leć, że to wszystko rodem z konserwa-  
tywnego Krakowa!

**GŁOS LIBERAŁA.** Nie po raz pierwszy  
Piotr Wierzbicki na łamach „Tygodnika  
Powszechnego” deklaruje się jako zwo-  
leńnik liberalizmu gospodarczego. Tym  
razem („TP” nr 51-52 z ub. roku) w  
felietonie „Galicyjski eksperyment”  
stwierdza m.in.: „Mnie, entuzjastę li-  
berałów, nie wypadło wierzyć w rozwią-  
zania etatystyczne”. Przy końcu swego  
tekstu autor — nawiązując do utworzo-  
nego w Krakowie towarzystwa przemy-  
słowego — powiada: „Ja w nich wierzę”.  
Oni więcej uczynią dla polskiej gospo-  
darki niż profesorowie ekonomii i bu-  
rokraci molestowani o to, żeby buro-  
kratami być przestali”. Księgocowe kon-  
cepce ekonomiczne p. Wierzbickiego już  
dawno przeszły do lamusa historii, lecz  
on udaje, że nie o tym nie wie. A prze-  
cież wystarczyłoby, gdyby sięgnął do  
roczników swego pisma z lat pięćdziesią-  
tych, gdy to na jego łamach toczyli spór  
o liberalizm Kisiel, ks. Piwowarczyk  
i Leopold Tyrmand. Po blisko 40 latach  
Wierzbicki miotłką dyktanta odkurza  
temat.

**MARKIEWICZ ZASZUFLADKOWANY.**  
Zadziorny krytyk literacki, zarazem  
dziennikarz Rozgłośni PR w Zielonej  
Górze, czyli Czesław Markiewicz, jest  
również poetą, o czym wielu już zapo-  
mniało. Jan Marszałek („Rzeczywistość”  
nr 51-52 z ub. roku) w szkicu „Nokturn  
z perel i z błota” pisze m.in.: „Duża gru-  
pa omawianego pokolenia poetów, w  
tym świecie materialnym (ziemskim)  
czuje się skrzepowaną, chciałaby z niego  
użyć do świata czystej idei, ale i ten świat  
ducha znajduje się w zasięgu śmierci,  
którą poeci traktują jako granicę mię-  
dzy tym, co istnieje, a tym, co dopiero  
może zaistnieć. Tak rozumiany motyw  
śmierci pojawia się u (...) Markiewicza  
„Mot bohaterowie”...”. Opinia Jana  
Marszałka przekonuje nas, iż Czesław  
Markiewicz nie jest tak całkiem „zma-  
terializowany”, jakby o tym świadczyć  
mogły pozory.

## Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów

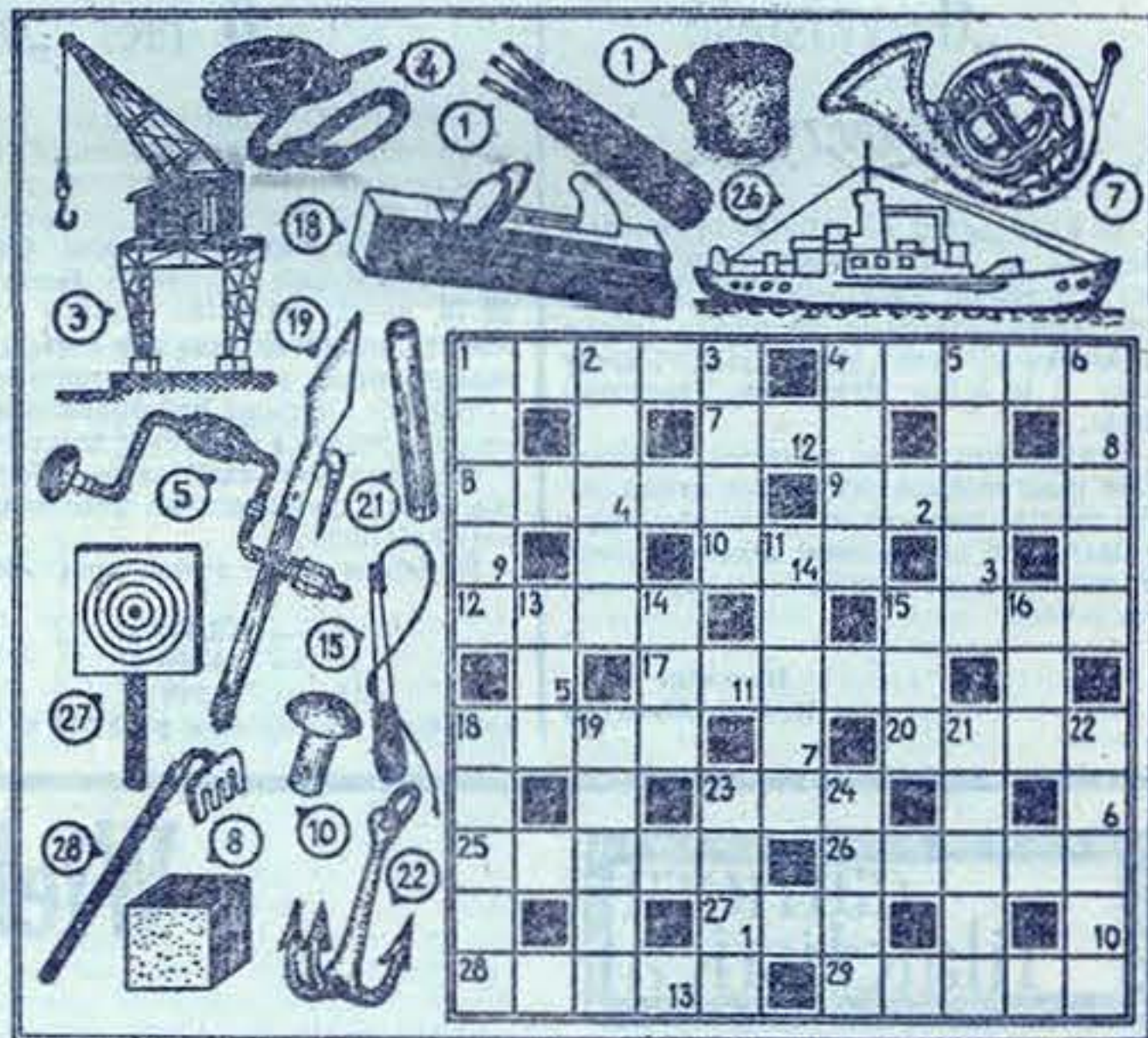


KRZYŻÓWKA  
(Oprac.: „ŚLAWICZ”)

W rozwiązaniu wystarczy podać, ile razy w diagramie krzyżówki występują litery  
C, S, Z.

**Pozio:** 1. Przepływa przez Lubsko, 7. Malec, brzdąc, 10. Część ptuga, spychacz, 11. Puchar, misa, 12. Wykwit na skórze, 13. Drobnopocięta słoma, 14. Rodzaj buta, 17. Kaszanka, 20. James MacPherson, 24. Kobieta niegodziwa, szelma, 25. Strój szlachcica, 26. Krowie jadio, 28. Przełożona, 29. Przyrząd do zamykania przepływu w rurkach ela-  
stycznych, sciskacz, 30. Ptak z rzędu błaszkodziobych, np. nurogęs, 32. Forsa, 35. Sprzet  
S.Bubki, 38. Formularz z pytaniami, 39. Miejscowość na trasie Świebodzin — Rzepin,  
40. Wykorzystana albo zmarnowana, 41. Przysłotka pieniężna, 42. Wygięty pręt stalowy  
służący zeglarzom do łączenia lin z osprzętem pokładowym (anagram z szaka), 43.  
Zaliczka.

**Pionowo:** 2. Biesiada, 3. Posucha, 4. Likier kminkowy, 5. Gatunek mowy, 6. Mias-  
to wojewódzkie, 7. Trakt, 8. Bron średniowieczna, 9. Paryski rzeźmieszek, 14. Miasto  
nad Łomnicą, w zach. części Ukrainy, 15. Biblijny przywódca Żydów, 16. Dol-  
na część młota mechanicznego, 18. Jack, prozacki i poeta angielski („Luny nad Smith-  
field”), działacz Światowego Ruchu Obródców Pokoju, 19. Mieszkaniec Czuwskiej  
ASRR, 20. Schorzenie stawu skokowego u konia, 21. Kipi z grochem, 22. Pracuje przy  
krośnię, 23. Zwycięzca XXVII Wyścigu Pokoju (1974 r.), 27. Napaść czynna lub słowna,  
31. Pojazd 2-kołowy ciągnięty przez człowieka, 32. Wit Stwos lub..., 33. Drobną ro-  
śliną zarodnikową, zamiast korzeni ma chwytaki, 34. Błyskowa, 35. Zajac morski, 36.  
Kaszkiot, giwer, 37. Wydatek.

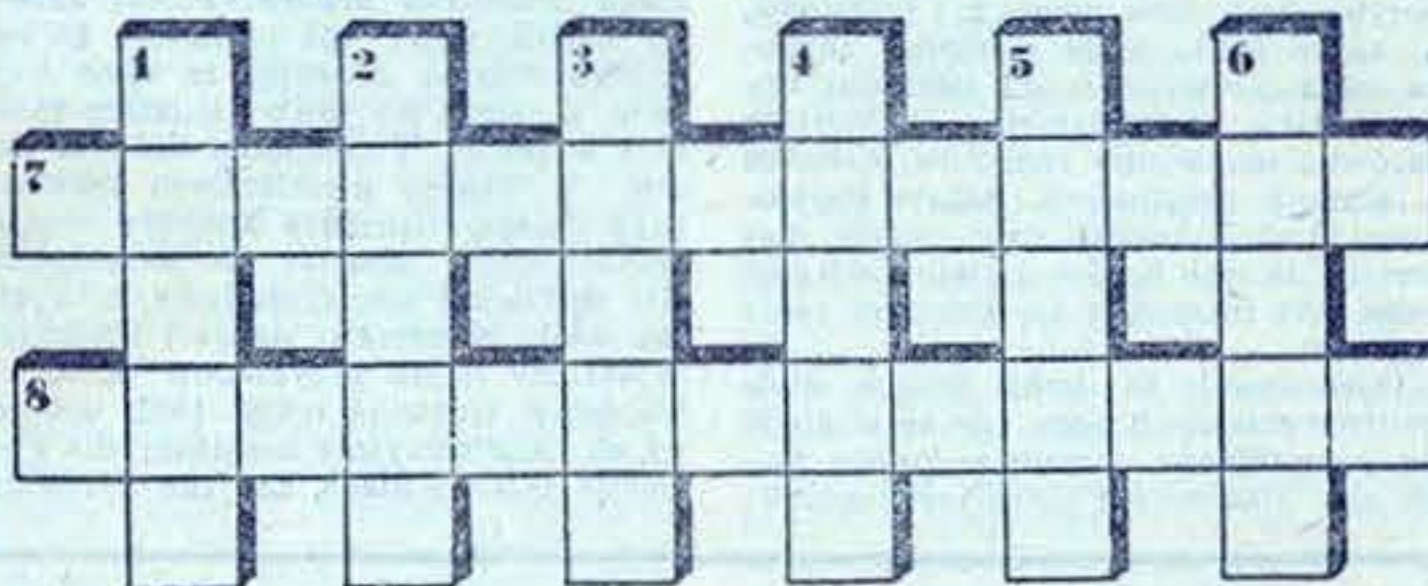


KRZYŻÓWKA ILUSTROWANA  
(Oprac.: „ZEM”)

Odgadnięte na podstawie rysunków wyrazy wpisać do diagramu tak, aby powstała  
krzyżówka. Litery z pół oznaczonych liczbami (w prawym dolnym narożniku), usta-  
wione w kolejności od 1 do 14, utworzą rozwiązanie — przysłowie polskie.

**Pozio:** 9. Tetnica, 12. Tytułowy bohater tragedii Szekspira, 15. Kafar, 17. Miejs-  
ce zapasów, 18. Konkurencja lekkoatletyczna, 20. Członek ludu indoeuropejskiego, 23.  
Pierwiastek promieniotwórczy, 25. Na powiecie, 29. Kwitnie tylko raz.

**Pionowo:** 2. Odkryty pojazd konny, 4. Odmiana chalcedonu, 6. Dawna nazwa Ma-  
ławi, 11. Imię księżniczki holenderskiej, 13. Miasto w Suwalskiem, 14. Poeta i rzeźbiarz  
ludowy z okolic Łancuta (1820—1909), 16. Futrzany szal, 23. Fajerwerk, 24. Fatum, los.  
Pozostałe hasła zilustrowane.



MAŁA KRZYŻÓWKA  
(Oprac.: „STANGAR”)

**Pozio:** 7. Zwleknięcie, odkładanie, 8. Zniewaga, obelga.

**Pionowo:** 1. Instrument dety, 2. Przy-  
stąpienie do czegoś, 3. Twórca „Boskiej  
komedii”, 4. Kanem, 5. Gatunek topoli, 6.  
Para.



Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać  
w terminie 14 dni od daty ukazania się  
numeru. Wśród Czytelników, którzy  
nadesłali rozwiązania trzech zadań roz-  
losujemy nagrodę książkową wartości  
ok. 500 zł, zaś pozostałe niewylosowane  
rozwiązania wezmą udział — razem z  
nadesłanymi dwoma rozwiązaniami —  
w losowaniu dwóch nagród książko-  
wych po ok. 200 zł. Na kopercie prosi-  
my nakleić zamieszczony obok kupon.